Lwów, Niedziela dnia 20. Kwietnia 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 12.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

HANIA.

Powieść
LITWOSA.

X.

(Ciąg dalszy.)

Ale ojciec stał ciągle na miejscu. Spojrzałem nań: na twarzy jego malowała się troska i bezsenność. Wodził oczyma po stawie i mruczał pacierze poranne. Do uszu moich doszło wyraźnie:

„Zdrowaś Marja, łaskiś pełna, Pan z tobą!“ Tu dalszy ciąg począł szeptać cicho, a potem znowu głośno:

„I błogosławion owoc żywota twojego — amen.“

Zniecierpliwiło mnie tak stać za wierzbą i postanowiłem przemknąć się cicho przez most. Mogłem to uczynić, albowiem ojciec stał odwrócony ku wodzie, a przytem, jak wspomniałem, był trochę głuchy, bo jeszcze za czasów swych wojskowych ogłuchł był od zbytniego huku dział. Stąpając tedy ostrożnie, przebierałem się przez most za dalsze wierzby, na nieszczęście jednak źle poobsadzane dyle drgnęły — ojciec obejrzał się:

— Co ty robisz? — spytał.

Zarumieniłem się jak burak.

— Przejść się ojcze idę — przejść się tylko.

Ale ojciec zbliżył się ku mnie, i odchyliwszy trochę płaszcza, którym osłaniałem się starannie, ukazał na szablę i pistolety i rzekł:

— A to co?

Nie było rady: należało się przyznać.

— Powiem już ojcu wszystko — rzekłem — idę się bić z Mirzą.

Myślałem, że ojciec wybuchnie gniewem, ale nad spodziewanie moje nie wybuchnął, tylko spytał:

— Kto kogo wyzwał?

— Ja jego.

— Bez poradzenia się z ojcem, bez powiedzenia słowa?

— Wyzwałem go wczoraj, zaraz po pogoni w Ustrzycy. Nie mogłem ojcze pytać się o nic — a zresztą bałem się, że ojciec zabroni.

— I zgadłeś. Wracaj do domu. Całą tę sprawę mnie zostaw.

Serce ścisnęło mi się tak boleśnie i rozpaczliwie jak nigdy.

— Ojcze — rzekłem — zaklinam cię na wszystko co ci jest święte, na pamięć dziada, nie zabraniaj mi się bić z Tatarem. Pamiętam jak nazywałeś mnie demokratą, i gniewałeś się o to na mnie. Otóż teraz przypomniałem sobie, za płynie we mnie krew dziada i twoja. Ojcze, on skrzywdził Hanię! i maż to mu być darowane? Niechaj nie mówią ludzie, że ród nasz dał ukrzywdzić sierotę i nie pomścił za nią. Ja jestem bardzo winien: ja ją kochałem i nie powiedziałem ojcu o tem, ale przysięgam, że gdybym nawet nie kochał jej, to dla jej sieroctwa, dla naszego domu i dla naszego imienia uczyniłbym toż samo co teraz czynię. Sumienie mówi mi, że to jest szlachetne — i ty, ojcze, mi nie zaprzeczysz — ale jeśli tak jest, to ja nie wierzę, żebyś ty bronił mi być szlachetnym; ja nie wierzę, nie wierzę, ojcze! Ojcze, pamiętaj, Hania skrzywdzona, ja wyzwałem, ja dałem słowo. Wiem, żem jeszcze niedorosły, ale czyż niedorosły nie ma takiej samej czci i takiego samego honoru jak dorosły. Jam wyzwał, ja dałem słowo — a uczyłeś mnie nieraz, że honor, to pierwsze prawo szlachcica. Ja dałem słowo, ojcze. Hania skrzywdzona, na domu naszym plama, i ja dałem słowo. Ojcze! ojcze!

I zawisnąwszy mu ustami na ręku, rozpłakałem się jak bóbr; modliłem się prawie do ojca, ale też w miarę jak mówiłem, surowa twarz jego miękła i łagodniała coraz bardziej, podniósł oczy w górę i ciężka, gruba łza, prawdziwie ojcowska, spłynęła mi na czoło! Toczył ciężką walkę z sobą, bo byłem źrenicą jego oka i kochał mnie nad wszystko na świecie, więc i drżał o mnie lecz wreszcie schylił posiwiałą głowę i rzekł cichym, zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Niech cię prowadzi Bóg ojców twoich! idź chłopcze, idź się bić z Tatarem.

Padliśmy sobie w objęcia. Ojciec przycisnął mnie do siebie i długo, długo trzymał mnie na piersi swojej. Potem jednak otrząsnął się ze wzruszenia, i rzekł do mnie z mocą i weselej:

— A to już bij chłopcze, aż będzie w niebie słychać!

Pocałowałem go w rękę; on zaś:

— Na szable, czy na pistolety?

— On wybierze,

— A świadkowie?

— Bez świadków. Ufam ja jemu, a on mnie. Po co nam świadkowie, ojcze?

I znowu rzuciłem mu się na szyję, bo czas mi było ruszać. Odszedłszy ze staję drogi, obejrzałem się; ojciec stał jeszcze na moście i żegnał mnie z daleka krzyżem świętym. Pierwsze promienie wschodzącego słońca padłszy na wyniosłą jego postać, otoczyły ją jakby świetlistą aureolą. I tak w świetle, z podniesionemi rękoma, wydał mi się ten posiwiały weteran niby starym orłem błogosławiącym zdaleka swoje piskle, na takie życie gromkie i skrzydlate, w jakiem sam kiedyś się lubował.

Ach! serce tak mi wezbrało wówczas, tyle miałem otuchy, wiary i zapału, że gdyby nie jeden, ale dziesięciu Selimów czekało na mnie u Wachowej chaty, wszystkich dziesięciu wyzwałbym natychmiast o lepszą.

Przyszedłem wreszcie do chaty. Selim czekał na mnie na skraju lasu. Przyznaję, że gdym spojrzał nań, uczułem w sercu coś takiego, co czuje wilk patrząc na łup swój. Spojrzeliśmy sobie groźnie i ciekawie w oczy: Selim zmienił się przez te parę dni. Schudł i zbrzydł — a może mnie się tylko tak zdawało, że zbrzydł — oczy jego świeciły gorączkowo, końce ust drgały.

Poszliśmy obaj natychmiast w głąb lasu, ale przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Wreszcie znalazłszy małą polankę między sosnami, zatrzymałem się i rzekłem:

— Tu. Zgoda?

Kiwnął głową i począł rozpinać surdut, aby zrzucić go do pojedynku.

— Wybieraj! — rzekłem ukazując mu pistolety i szablę.

Wskazał na szablę, którą mnial z sobą: turecką, mocno zakrzywioną na końcu, damascenkę.

Tymczasem zrzuciłem surdut: on poszedł za moim przykładem, ale poprzednio wydobył z kieszeni list.

— Jeżeli zginę, proszę, oddaj to pannie Hannie.

— Nie przyjmuję.

— To nie zwierzenia, to wyjaśnienia.

— Zgoda.

Tak rozmawiając, zawinęliśmy rękawy od koszul. Teraz dopiero serce poczęło mi bić żywiej. Wreszcie Selim chwycił za rękojeść; wyprostował się, stanął w postawie szermierskiej, wyzywającej, dumnej — i trzymając szablę poziomo wyżej głowy, rzekł krótko:

— Jestem gotów.

Stanąłem w takiej samej postawie, wsparłszy szablę na jego szabli.

— Czy już?

— Już.

— Zaczynajmy.

Uderzyłem od razu nań tak natarczywie, że aż się musiał cofnąć kilka kroków, a przytem z trudnością utrzymywał moje razy na szabli, na każde cięcie jednak odpowiadał cięciem z taką szybkością, że uderzenie i odpowiedź rozlegały się prawie równocześnie. Rumieniec oblał mu twarz; nozdrza się rozdęły, oczy wyciągnęły na wskos po tatarsku i poczęły ciskać błyskawice. Przez chwilę słychać tylko było warczenie kling, suchy dźwięk stali i świszczący oddech naszych piersi. Selim zrozumiał wkrótce, że jeśli walka przedłuży się — on musi uledz, bo nie stanie mu sił, ni płuc. Grube krople potu wystąpiły mu już na czoło, oddech stawał się coraz chrapliwszy. Ale też ogarnęła go jakaś wściekłość, jakieś szaleństwo bojowe. Włosy rozrzucone ruchem opadły mu na czoło, w otwartych ustach połyskiwały białe zaciśnięte zęby. Rzekłbyś natura tatarska rozbudziła się w nim i zdziczała, czując szablę w ręku i wietrząc krew przed sobą. A jednakże miałem nad nim przewagę równej furji, a większej siły. Raz już nie utrzymał cięcia i krew trysnęła z jego lewego ramienia; po kilku sekundach sam koniec mej szabli znowu dotknął mu czoła. Straszny był wówczas z tą czerwoną wstążką krwi pomieszaną nawpół z potem i zciekającą po twarzy na usta i brodę. Zdawało się to go podniecać. Przyskakiwał do mnie i odskakiwał jak ranny tygrys. Koniec jego szabli wił się ze straszną szybkością ognistego piorunu, koło mojej głowy, ramion i piersi. Z trudnością chwytałem te szalone cięcia, tembardziej, żem więcej myślał o tem, żeby je zadawać. Chwilami docieraliśmy do siebie tak blizko, że pierś prawie uderzała o pierś. Nagle Selim odskoczył, szabla zaświszczała tuż koło mojej skroni — ale odbiłem ją z taką siłą, że głowa Selima pozostała na chwilę odkryta; wymierzyłem cios zdolny rozpłatać ją na dwoje i... niby piorun uderzył nagle w moją czaszkę; krzyknąłem: „Jezus Marja!“ szabla wypadła mi z ręki i jakby porażony, upadłem twarzą na ziemię.

XII.

Co się działo ze mną przez czas długi, nie wiem i nie pamiętam. Gdym się rozbudził, leżałem na wznak w pokoju i na łóżku ojca, ojciec zaś siedział przy mnie w fotelu, z głową przechyloną w tył, blady i z przymkniętemi oczyma. Okiennice były pozamykane, na stole paliły się świece, a w ciszy wielkiej panującej w pokoju, słyszałem tylko szept zegara. Przez jakiś czas patrzyłem bezmyślnie w sufit i zbierałem leniwe myśli, potem próbowałem się poruszyć, ale przeszkodził mi nieznośny ból w głowie. Ten ból przypomniał mi trochę wszystko co zaszło, więc ozwałem się cichym, osłabionym głosem:

— Ojcze!

Ojciec drgnął i pochylił się nademną. Radość pomieszana z czułością odmalowała się na jego twarzy, i rzekł:

— Boże! dzięki ci! odzyskał przytomność. Co synku? co?

— Ojcze, ja biłem się z Selimem?

— Tak, kochanie moje! nie myśl o tem!

Przez chwilę panowało milczenie, a potem spytałem:

— Ojcze? a kto mnie tu przyniósł do pokoju z lasu?

— Ja przyniosłem cię na ręku; ale nie mów nic, nie męcz się.

Nie upłynęło jednak pięć minut jak znów zacząłem pytać. Mówiłem tylko bardzo wolno:

— Ojcze?

— Co, dziecko moje?

— A co się stało z Selimem.

— Zemdlał także z utraty krwi. Kazałem go odwieźć do Chorzel.

Chciałem jeszcze pytać o Hanię i matkę, ale czułem, że znów opuszcza mnie przytomność. Zdawało mi się, że jakieś psy czarne i żółte zaczęły tańcować na dwóch łapach koło mojego łóżka i począłem się im przypatrywać. To znów marzyło mi się, że słyszę głosy fujarek wiejskich, to chwilami, zamiast zegara, który wisiał naprzeciw mojego łóżka, widywałem twarz jakąś, wyglądającą ze ściany i chowającą się w nią naprzemian. Nie był to stan zupełnej nieprzytomności, tylko gorączki i rozproszenia myśli; musiał jednak trwać dosyć długo. Chwilami było mi trochę lepiej, a wtedy rozpoznawałem na wpół twarze otaczające moje łóżko: to ojca, to księdza, to Kazia, to doktora Stasia. Pamiętam, że między twarzami temi brakło mi jednej, ale nie mogłem dojść której, wiem jednak, że czułem ten brak, i że szukałem jej instynktowo. Raz w nocy usnąwszy mocno, rozbudziłem się nad ranem. Świece paliły się jeszcze na stole. Było mi jakoś bardzo, bardzo słabo. Nagle spostrzegłem schyloną nad łóżkiem osobę, której nie poznałem odrazu, ale na widok której zrobiło mi się tak błogo, jakbym już umarł i był wzięty do nieba. Byłato anielska jakaś twarz, ale tak anielska, taka święta, dobra, z temi łzami płynącemi jej cicho z oczu, że uczułem jakby i mnie na płacz się zbierało. Ale wówczas wróciła mi iskra przytomności, rozjaśniło mi się w oczach, i zawołałem słabo, a cicho:

— Mamo!

Anielska twarz pochyliła się ku mojej wychudzonej ręce, leżącej bez ruchu na kołdrze i przycisnęła do niej usta. Usiłowałem się podnieść, ale uczułem znowu ból w skroniach, więc zawołałem tylko:

— Mamo! boli!

Matka moja, bo ona to była, poczęła zmieniać okłady z lodem, leżące na mej głowie. Zawsze ten opatrunek przyczyniał mi niemało cierpień, ale teraz te słodkie, kochane ręce z taką troskliwą delikatnością poczęły poruszać się koło mej biednej, porąbanej głowy, że nie czując najmniejszej boleści, począłem szeptać:

— Dobrze, o dobrze!

Odtąd byłem już przytomniejszy, pod wieczór tylko zapadałem w gorączkę. Widywałem zawsze Hanię, chociaż gdym był przytomny nie widziałem jej przy sobie nigdy. Ale widziałem ją zawsze w jakiemś niebezpieczeństwie. To raz wilk z czerwonemi oczyma rzucał się na nią. To znów porywał ją ktoś, niby Selim, a niby nie Selim, bo z twarzą porośniętą czarną szczeciną i z rogami na głowie. Wówczas czasem krzyczałem, a czasem prosiłem wilka lub owego rogacza bardzo grzecznie i pokornie, żeby jej nie porywał. W takich chwilach matka kładła mi rękę na czoło i złe mary znikały natychmiast.

Wreszcie gorączka opuściła mnie stanowczo, odzyskałem zupełną przytomność, ale nie znaczyło to, że byłem zdrowszy. Przyplątała się jakaś inna choroba, jakieś niesłychane osłabienie, pod wpływem którego gasłem widocznie. Po całych dniach i nocach wpatrywałem się w jeden punkt na suficie. Byłem niby przytomny, ale obojętny na wszystko. Nie obchodziło mnie ani życie, ani śmierć, ani osoby czuwające nad mojem łóżkiem. Odbierałem wrażenia, widziałem wszystko co się koło mnie działo, pamiętałem wszystko, ale nie miałem dość sił, żeby zebrać myśli i żeby czuć. Raz wieczorem począłem widocznie konać. Postawiono koło mojego łóżka wielką żółtą świecę; potem ujrzałem księdza Ludwika ubranego w komżę. Dawał mi Sakrament, następnie kładł na mnie oleje święte, a przytem szlochał tak, że mało od przytomności nie odszedł. Matkę wyniesiono zemdloną z pokoju; Kazio wył płaczem pod ścianą i targał się za włosy, ojciec siedział z załamanemi rękoma, zupełnie jakby kamienny. Widziałem to wszystko doskonale, ale byłem zupełnie obojętny — i patrzyłem jak zwykle martwem, szklanem okiem na sufit, na poręcz łóżka w nogach lub na okno, przez które wpadały mleczne i srebrne snopy księżycowego światła. (dok. nast.)

WOLNOŚĆ i PAŃSTWO

STUDJUM SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

Reformacja nową myśl wprowadza, myśl swobody przekonań. Długi czas po niej, wolność punkt ciężkości swojej w wolności religijnej znajduje. Przez traktat westfalski zniesioną zostaje

poniekąd niewola sumienia. Jednocześnie idea cesarstwa Niemieckiego, roszczącego pretensje do panowania nad całym światem stanowczy cios ponosi. Państwa pojedyncze przychodzą do samopoznania. Nie zajęte już walką z cesarstwem nie obawiając się więcej supremacji jego, poczynają działalność swoją zwracać na zewnątrz. Od tej chwili państwa nabierają indywidualności, i zaczynają się rozwijać, każde w innym kierunku. Najoryginalniej kształcą się dwa państwa na krańcach Europy położone, mianowicie Anglja i Polska. W Anglji powstaje i rozrasta się myśl wolności indywidualnej prywatnej, dla której podstawę daje Magna Carta Jana bez Ziemi. Taż sama myśl wykwita i u nas trochę później, bo w r. 1505, Aleksander Jagielończyk na sejmie w Radomiu wypowiada ów znany przywilej: „Neminem captivabimus..“ W związku z ideą wolności osobistej, rozwija się powoli w Anglji system rządu parlamentarnego; u nas zaś w zasadzie piękna, ale w skutek okoliczności zgubna w następstwach myśl liberum veto, której za podstawę dano statuta Nieszawskie z 1545 roku.

Inaczej rzecz się miała w Europie środkowej. Ludwik XIV daje potężne podstawy monarchji absolutnej. Jego myśl tak dosadnie wyrażona w sławnych tego króla słowach: „l'Etat c'est moi“, wkrótce rozszerza się po całej Europie. Monarchowie starają się zdobyć jak największą potęgę na wewnątrz i na zewnątrz. Faworyzują pojedyncze stany i pojedyncze indywidua i prześladują naprzemian, jeśli to ich celom odpowiednim się im wydaje. Dwór chce błyszczeć, i słusznie: potężny to bowiem środek, którym na wyobraźnię mas podziałać i wielkość majestatu w głowę wbić można. Królowie i książęta wymyślają różne ordery i oznaki honorowe, by mieć czem obdarzać ludzi dobrze im służących. Pojedyncze indywidua pragną się też odznaczyć, blasku dla siebie od dworu pożyczyć; ubiegają się za godnościami i zaszczytami. To też wolność onych czasów powiedzieć można, jest honorem, sławą, zaszczytem. Szlachta teraz silniej się odstrychnęła od innych stanów. Zerwane między nią a stanem trzecim stosunki; bo stan trzeci z pod jej władzy pod opiekę monarchy przechodzi. Lud wiejski tylko jeszcze pod jej jęczy przemocą i pod jej wyłączną władzą zostaje. Ten ostatni niewolnikiem, stan mieszczański jest wrogiem szlachty w tych czasach. Ciężary materjalne i wzajemna wzgarda, ów największy moralny ciężar człowieka, wyradza powszechne niezadowolenie. Zaczynają się pojawiać tajne towarzystwa, w których tkwi myśl zmiany dotychczasowego ciężkiego dla wszystkich porządku.

Najznakomitszy z tych podziemnych wulkanów społeczeństwa, wolnomularstwo stawia sobie za hasło: „wolność, równość, braterstwo,“ i pod tem hasłem, dostępnem tylko dla wtajemniczonych bliżej, a w masce mistycyzmu na obliczu, wciska się we wszystkie warstwy społeczeństwa. Montesquieu, Roussau, Voltaire, Condorcet pismami swemi podniecają dążenia do wolności, reform socjalnych i politycznych. Wreszcie wybucha wielka rewolucja francuska z 1789 roku. W zadaniach wolności większa tu już rozmaitość niż kiedykolwiek indziej. Wszystkie dawniejsze powtórzone i nowe dotąd nieznane zadania wolności powstają. Lecz rewolucja francuska aczkolwiek na narodowym gruncie powstała, nie była prawdziwie narodową. Nasiona, które na wzburzonych umysłów rolę rzucono, po większej części zebrane były z roślin w innych krainach rozkwitłych. Możnaby rewolucję tę nazwać prędzej rewolucją poetów i filozofów, niż rewolucją ludu francuskiego. To też upadła ona wkrótce we Francji i dawniejszy stan rzeczy z małemi zmianami powrócił. Jeżeli dla Francji rewolucja 89 r. nie przyniosła tak wielkich owoców, jakby się po niej spodziewać należało, to dla ogólnego w Europie porządku niezmiernej była wagi. Wojny Napoleońskie rozniosły ją po całej Europie. Wstrząsnęła ona umysłami, i do myśli a za niemi do czynów pobudziła.

Idea monarchji absolutnej bardzo przez nią została podkopana. Zadania wolności, które rewolucja francuska gromadnie postawiła, i ryczałtowo rozstrzygnąć usiłowała, pojedynczo później pod rozwagę przychodzą i pojedyncze wywołują rewolucje. Po podziale Polski i traktacie Wiedeńskim, który uważać można za reakcję przeciw rewolucji francuskiej, i rozprzestrzenionym przez nią pojęciom, zaczynają państwa porządkować stosunki pomiędzy sobą. Idea centralizacji i terytorjalności w prawie państwowem i międzynarodowem dochodzi swego szczytu. Zachwiana na chwilę myśl absolutnej monarchji znowu się wzmaga olbrzymio, popierana przez Święte Przymierze, które kładzie sobie za zadanie stłumiać wszelkie antymonarchiczne zachcianki i w tym celu zasadę interwencji przyjmuje: Ale myśli raz wszczepione w umysły, znowu się budzą, rozrastają i owoce przynoszą. Tajne stowarzyszenia szeroko się rozpowszechniają, Carbonarja, Propaganda, Młoda Italja, Młoda Polska, Niemcy, Europa itd. podobne stawarzyszenia przygotowują i wywołują ciągłe rewolucje. Ruch socjalny i republikański groźną przybiera postawę. R. 1848 jest tu stanowczym. Rewolucje ówczesne dwojaki miały charakter: socjalny i polityczny. W obu kierunkach dążono do ostateczności. Rewolucje polityczne nie zbudowały rzeczypospolitych, ale natomiast dały podstawę konstytucjonalizmowi. Rewolucje socjalne dążyły do komunizmu i socjalizmu; komunizm chciał równości majątkowej, socjalizm równości moralnej. Pierwszy chciał oprzeć się na wspólności dóbr materjalnych, drugi usiłował zniwelować wszystko za pomocą sztucznych urządzeń i niewolniczego podziału pracy. Indywidualności i wolności osobistej nie uwzględniał tak jeden jak drugi, chcąc wyłącznie równość osiągnąć. Tak sprzeczne z naturą ludzką i przyrodzonym rzeczy porządkiem rezultatu, nie osiągnęły one naturalnie. Jednak ważna z nich rzecz dla ludzkości wypłynęła, od czasu bowiem owych socjalnych pokuszeń, datować należy wzrost i rozmnożenie się idei assocjacji, idei stowarzyszeń wszelkiego rodzaju.

W dzisiejszych państwach, rządy są po większej części monarchiczne, konstytucyjne, na pierwiastku centralizacji i terytorjalności oparte. Państwo dzisiejsze można określić tak: Jestto stowarzyszenie sztuczne i przymusowe między ludźmi mieszkającymi na pewnym ściśle określonym terytorjum i podlegającemi wspólnej zwierzchnej władzy. W dzisiejszem państwie mało dotąd uznane zostały pierwiastki naturalne, mianowicie gmina i narodowość. Pierwsza pozostawiona dotąd w kurateli centralnej władzy państwa, druga zaprzeczona i porozrywana granicami lub uznana w sposób dwuznaczny. Idea narodowości pod dwojaką przedstawia się postacią:

1) jako indywidualna samodzielność, 2) jako szczepowe zjednoczenie. Pierwsza, sprzeczna z zasadą terytorjalności, z pewnem wahaniem się i w bardzo dwuznaczny sposób podjętą została w ostatnich czasach przez Napoleona III. Druga popierana jest władzą teraz przez Rossję i Prusy w postaci panslawizmu i jedności niemieckiej. Rozwiązanie ostatniej kwestji nigdy nie powinno zależeć od rządu, ale tak inicjatywa jej, jak rozstrzygnięcie od ludów pochodzić i wyłącznie od nich zależeć tylko może. (C. d. n.)

MIKROFONY.*)

Pomimo iż mikrofony już od przeszło roku są znane, pomimo iż niezmiernie proste w budowie, dotychczas jednak nie zbadano ich o tyle, żeby postawić było można teorję, wyjaśniającą zupełnie wszelkie zjawiska wywoływane użyciem tego małego przyrządu.

Zasada mikrofonu zużytkowaną została w całym szeregu przyrządów wielkiej wagi; odkrycie jego otworzyło zupełnie nowe źródła badania, obfite i obiecujące na przyszłość wielką ilość zastosowań praktycznych. Od roku wszyscy się nim zajmują, i pomimo wszechstronnego badania, codzień przybywają jakieś nowe i niespodziewane rezultaty.

Nazwa mikrofonu, została złożoną w ten sam sposób, jak nazwa mikroskopu. Mikrofon miał, jak to z początku przypuszczano, zwiększać dźwięki w sposób, w jaki mikroskop zwiększa obrazy przedmiotów. Ta pierwotna nazwa utrzymała się, chociaż ściśle biorąc rzeczy nie odpowiada przeznaczeniu przyrządu, jak się o tem zaraz przekonamy.

Z pomiędzy wszystkich wielkich wynalazków ostatnich lat paru, najprostszym jest mikrofon. Każdy z łatwością może go sam sobie przyrządzić, bez żadnego zachodu i kosztów.

Weźmy dwa kawałki koksu wielkości orzecha laskowego i umocujmy je na małej, poziomej, drewnianej deseczce, w odległości kilku centymetrów, jeden od drugiego. Wystrugajmy oprócz tego z koksu laseczkę, grubości pióra gęsiego, a długości nieco większej niż odległość obu wyżej wspomnianych kawałków na deseczce, i zaostrzmy ją u obu końców w kształcie ołówka. Połóżmy tę laseczkę w poprzek na owych dwóch kawałkach, tak żeby zupełnie swobodnie na nich leżała.

Otóż i cały mikrofon.

Żeby zobaczyć jego działanie, trzeba mieć oprócz tego chociażby jeden element galwaniczny, jakiegokolwiek rodzaju, kawał drutu i jeden telefon. W obwód prądu elektrycznego, w drut łączący oba bieguny, wstawiamy mikrofon i telefon. Prąd elektryczny biegący od bieguna jednego, przechodzić musi przez telefon i wzdłuż, przez trzy kawałki koksu, stanowiące mikrofon.

Mając takie zestawienie, możemy rozpocząć próby, Przykładamy telefon do ucha i wprawiamy w jakikolwiek sposób w drganie deseczkę mikrofonu. Dotykamy, dajmy na to, lekko palcem. W tej chwili słyszymy w telefonie trzask taki, jakby deseczka miała się na pół przełamać. Pociągnięcie delikatnem piórkiem, staje się w tele-

*) Ustęp z odczytu publicznego p. B. Abakanowicza.

*

fonie donośnym szmerem. Dmuchnięcie słychać jakby z miecha, a przy dobrem ustawieniu słychać muchę chodzącą po deseczce. Uderzenie zegarka kieszonkowego, obok położonego wydają się uderzeniami ściennego zegara.

Ponieważ szmery wywoływane przy telefonie są ciche, niesłyszalne prawie gołem uchem, więc możemy się znajdować z telefonem w bezpośredniej bliskości mikrofonu. Lecz doświadczenie to można powtórzyć na większą skalę. Można drut od mikrofonu przeprowadzić do sąsiedniego pokoju, na podwórko, albo w ogóle na znaczniejszą odległość, a zawsze w telefonie słychać będzie szmery drobne wywoływane przy mikrofonie. Robiłem próby na odległości między Lwowem a Brodami i nawet wtedy pukanie o deseczkę w Brodach słyszeć można było na lwowskiej stacji telegraficznej.

Kiedy się używa mikrofon na znaczniejszej odległości, wtedy zauważyć można jeszcze inne zjawisko, dające mu szczególną wartość. Oto mikrofon jest wybornym telefonem. Mowa wypowiedziana do trzech kawałków koksu, przenosi się wybornie do telefonu znajdującego się na drugiej stacji. Najcichsze mówienie w bliskości mikrofonu, daje się wyraźnie słyszeć, a co dziwniejsza nie trzeba mówić w bezpośredniej bliskości od aparatu. Mikrofon zbiera dźwięki z całego pokoju i przenosi je na następną stację, przy pomocy elektryczności. Udawało mi się mówić doń z odległości 10ciu metrów, a mimo to wyraźnie słychać było tę mowę w telefonie odległym o kilkadziesiąt metrów, i znajdującym się w drugim końcu wielkiego gmachu.

Gdy po raz pierwszy próbowałem rozmawiać przez mikrofon, dziwne i uderzające odebrałem wrażenie. Zdawało mi się że mam przed sobą coś tajemniczego, niewytłómaczonego i na śmiech się zbierało mówiąc na serjo do kawałków koksu opartych jeden na drugim. Gdyby mikrofon nie był poprzedzony przez telefony i fonografy, nie dalibyśmy wiary jego działaniu, jest bowiem prostym aż do śmieszności, a wypełnia zadanie tak skomplikowane, jakiem jest przesyłanie mowy ludzkiej, złożonej z najrozmaitszych i najbardziej skomplikowanych dźwięków.

Teorja mikrofonu nie jest jeszcze wyjaśnioną tak, jakby tego sobie życzyć należało. Wiemy jakie fale głosowe uderzające o mikrofon skutki wywołują, ale nie wiemy bliższej przyczyny tych skutków. Wiemy, że gdy kawałki koksu są w spokoju, wtedy prąd przechodzi przez nie w jednostajnej sile, udaje się do telefonu, lecz nie wywołuje w nim żadnej zmiany i nic nie słychać. Lecz przypuśćmy że śpiewamy w bliskości owych kawałków koksu. Wtedy z ust naszych wydobywają się fale dźwięczne, dostające się przez powietrze do mikrofonu i wstrząsające nim, jak w ogóle wszystkiem o co uderzą. Wtedy koks zmienia swe przewodnictwo. W chwili silniejszego wstrząśnienia, przepuszcza łatwiej prąd elektryczny, w chwili słabszego trudniej i już do telefonu nie bieży prąd jednostajny, lecz zmienny, posiadający w każdej chwili inne natężenie, proporcjonalne do natężenia fal głosowych o mikrofon uderzających. Telefon, w sposób powszechnie znany, ten prądozmiennem natężeniu transformuje na dźwięki.

Po tem, nasuwa się nam pytanie, dlaczego koks zmienia swe przewodnictwo gdy drży pod wpływem dźwięków? Według najprawdopodobniejszej ze wszystkich teorji, zmiana przewodnictwa polega wtedy na zmianie ilości punktów styczności pomiędzy kawałkami koksu. Wytłumaczmy to nieco bliżej. Wiemy, że każde ciało tem mniejszy stawia opór elektryczności, im większy jest jego przekrój. Po grubym drucie prąd łatwiej przebiega niż po cienkim. Otóż, wystawmy sobie jedną część mikrofonu, tę, gdzie laseczka koksu opiera się na jednym z dolnych kawałków. Dajmy na to, że punktów styczności jest wtedy tylko dziesięć. W chwili gdy o koks uderzy słaba fala głosowa, wtedy ilość punktów się zwiększy, i będzie przypuśćmy, dwadzieścia. Większa ilość prądu przejdzie do telefonu, bo większym będzie przekrój. Następnie będzie pauza, w której mikrofon wróci do dawniejszej pozycji i znowu prąd będzie słabszym. Dalej przyjdzie silniejsza fala, i im ona będzie silniejszą, tem więcej będzie punktów styczności i tem łatwiej prąd będzie przechodził. W ten sposób po drucie biegą prądy ciągłe ale zmienne, których zamiana odwrotna na dźwięki, następuje w Bellowskim telefonie.

Lecz nie sam tylko koks posiada opisane wyżej własności. Każdy przewodnik elektryczności, w mniejszym lub większym stopniu może być użytym do zrobienia mikrofonu. Hugues, który jest współwynalazcą Edisona, w budowie mikrofonu składał go, z trzech kawałków żelaza. Weźmy trzy zwykłe ćwieki, połóżmy dwa z nich równolegle na deseczce i połączmy każdy z innym biegunem baterji, a w poprzek na dwóch pierwszych ćwiekach ustawmy poziomo trzeci. W ten sposób powstanie mikrofon, niezbyt wprawdzie czuły ale powtarzający z mniejszem natężeniem wszystkie mikrofoniczne zjawiska. Lepiej doświadczenie się udaje gdy zamiast ćwieków użyje się trzech lżejszych daleko igieł.

Mikrofon, najpowszechniej używany obecnie ma następującą formę. Dwie małe deseczki drewniane sklejone są prostopadle jedna do drugiej. Na dolnej poziomej przymocowuje się kawałek koksu z małem zagłębieniem u góry. Po nad tym kawałkiem, przylepionym jest do prostopadłej deseczki drugi, pionowo się nad nim znajdujący, z wydrążeniem u dołu. Oba wydrążenia stoją pionowo nad sobą i przyjmują do siebie oba zaostrzone końce koksowej laseczki, która stojąc pionowo z zagłębień wypaść nie może, jednakże posiada wielką swobodę ruchów. Nie należy jej wcale ściskać między dolnym a górnym kawałkiem.

Jest to, jak powiedzieliśmy najpowszechniejsza forma; co chwilę jednak czasopisma naukowe podają nowe zestawienia z zastosowaniem rozmaitych materjałów i zdawałoby się że mikrofony robią znaczne postępy. Tymczasem tak nie jest i w samej rzeczy wszystkie prawie nowe aparaty, są przeróbką jednego i tegoż samego zasadniczego przyrządu.

Gdy mikrofon się pojawił sądzono iż znajdzie on wiele praktycznych zastosowań, szczególniej w fizjologii, do badania drobnych szmerów w ciele ludzkiem. Lecz próby prowadzone w tym kierunku nie wydały nazbyt dobrych rezultatów. Zbudowano aparaty mikrofoniczne do badania kamieni w pęcherzu, do osłuchiwania klatki piersiowej, lecz nie otrzymano przyrządów lepszych od dotychczas używanych. Przyczyna tego nieudania się leży głównie w tem, że mikrofon jest nazbyt czułym przyrządem. Każdy najdrobniejszy szmer, wzrasta do znacznych rozmiarów i powstaje wskutek tego w telefonie ogromna mięszanina dźwięków trudnych do odróżnienia. Jeżeli naprzykład zechcemy słuchać uderzenie tętnic, to skomplikowany ruch tych naczyń krwionośnych tak silnie wstrząsa mikrofonem, iż słychać w nim hałas, z którego przebiegu faz w ruchach odróżnić prawie nie można.

Co się tyczy powiększania dźwięków przez mikrofon, to zachodzi tutaj zwykle fałszywe pojęcie rzeczy. Gdy się słucha w telefonie słabych szmerów wydawanych przez mikrofon, to rzeczywiście słyszy się hałas bezporównania silniejszy. Natomiast gdy szmer zaczniemy zwiększać, to w telefonie hałas nie zwiększa się proporcjonalnie. Mowa naprzykład nie zostaje wcale wzmocniona. A i przy zwiększaniu małych szmerów, nie ma się do czynienia w zwiększaniu w ścisłem znaczeniu tego słowa. Charakter, barwa ich zmienia się nieraz do niepoznania i są one tylko rytmicznem naśladowaniem szmerów pierwotnych.

Wspomnieliśmy już wyżej, że teorja mikrofoniczna nie jest ścisłą, również jak i całego szeregu wielkich, pełnych doniosłości przyrządów, które się w ostatnich paru latach pojawiły, jak telefon, fonograf i innych. Przy doświadczeniach licznie czynionych, przybywają coraz nowe fakta, które zamiast rozjaśnić kwestję, jeszcze bardziej ją zaciemniają.

Weźmy np. pod uwagę zjawisko spostrzeżone przez pana Blytha z Edynburgu. Przekonał się on, że można słyszeć mikrofon bez użycia telefonu. Na jednej stacji mówi się do kawałków koksu, a na drugiej takież same kawałki mowę powtarzają.

Doświadczenia Blytha trudne są do powtórzenia i raz mi tylko udało się słyszeć mowę samego mikrofonu. Lecz ten raz wystarczył mi do przekonania się o prawdziwości twierdzenia pana Blytha. Doświadczenie to urządza się w następujący sposób. Bierze się dwie szklanki i napełnia je koksem, potłuczonym na kawałki wielkości grochu. Do jednej i do drugiej szklanki wstawia się laseczki z cyny, wystające nad brzegi. Każda tak napełniona szklanka stanowi stację mikrofoniczną. Drut łączy z sobą laseczki cynowe, a w jego obwód wstawia się parę elementów Daniella. Do szklanek nalewa się wody tyle, żeby koks był całkowicie zalany. Mowa wypowiedziana do jednej szklanki, powtarza się jednocześnie przez drugą, wprawdzie bardzo słabo, ale niektóre wyrazy dość dobrze odróżnić można. Jak sobie wyjaśnić należy to zjawisko, jest pytaniem, na które nie mamy jeszcze odpowiedzi.

Podobne do tego zjawisko widzieć można w tak zwanym „kondensatorze śpiewającym" Pollarda. Przyrząd to bardzo prosty i łatwy do zrobienia. Proszę sobie wyobrazić trzydzieści kartek papieru, wydartych z książki in 8-vo, poprzekładanych małemi arkusikami cynfolji. Cynfolja jest ułożoną w ten sposób, że całość stanowi coś w rodzaju butelki lejdejskiej, w której piętnaście arkusików cynfolji tworzy jedną powierzchnię przewodzącą, a pozostałe piętnaście, drugą. Papier zastępuje miejsce szkła. Od jednej i od drugiej połowy cynfolji, idą druty do aparatu podobnego do mikroficznego, który przerywa prąd w chwili gdy się doń śpiewa i to przerywa tak często, ile jest drgań w głosie. Paczka papieru z cynfolją zaczyna wtedy śpiew powtarzać i to z taką siłą, że w wielkiej sali wszędzie go słyszeć można.

I tutaj mamy do czynienia ze zjawiskiem, które potrzebuje jeszcze szczegółowego zbadania.

B. Abakanowicz.

AWANTURNICZA WYPRAWA
DO CHIWY
BURNABY'EGO
KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

IX.

(Ciąg dalszy).

Wieść, że Anglik, reprezentant wielkiej Chanowej Indyjskiej, przybywa do Chiwy, rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście. Anglik, to znaczy istota mająca podobnież jak Moskale okrągłe oczy, ogolone policzki, wystający nos, nie byłby może takiego wrażenia w Chiwie wywołał, gdyby z imieniem jego nie wiązały się polityczne kombinacje. Ale one właśnie dodawały znaczenia jego osobie. Chiwańczycy przyzwyczaili się już do oczu okrągłych i ogolonych policzków od czasu, gdy Moskale zamieszkali na ich granicy. Wiedzieli już, że są tak oryginalne narody, których mężczyźni uważają za właściwe niszczyć na swej twarzy najpiękniejszą ozdobę płci męskiej, wąsy i brodę, i nadawać swej fizjonomji charakter niewieści. Dla tego też na Burnabyego, gdyby był Hiszpanem lub Francuzem, zwróciliby nieskończenie mało uwagi; gapiliby się nań o tyle, o ile w ogóle każdy cudzoziemiec na gapienie się zasługuje, ale zresztą nic więcej. Tymczasem ponieważ był Anglikiem i do tego pierwszym Anglikiem, jaki od stworzenia świata wstąpił na ziemię chiwańską, przeto nietylko stał się przedmiotem ciekawości, ale także i przedmiotem admiracji. Chiwańczycy wiedzieli bowiem, że jak ogień nie da się pogodzić z wodą, tak na arenie azjatyckiej interesa angielskie nie dadzą się pogodzić z interesami moskiewskiemi i że przeto na każdym punkcie Anglja musi Moskwie szkodzić, a chcąc skutecznie szkodzić, musi się łączyć z tymi wszystkimi, którzy są naturalnymi wrogami Moskwy. Owoż takim jej wrogiem jest Chiwa, naturalnym więc instynktem czuje sympatję do Anglji a w każdym Angliku widzi przyjaciela. Ile zaś na odwrót jest Anglików, którzy czują sympatję do Chiwy a w Chiwańczykach widzą sprzymierzeńców, rozstrzygać nie będziemy. Rozbiór tego pytania pozostawiamy tym wszystkim, którzy budują wielkie plany o odbudowaniu Polski na podstawie interwencji zagranicznej. Dla ułatwienia im jednak tej operacji rachunkowej, nadmienić musimy, że kiedy Moskwa podbijała Chiwę, Anglja w obronie swego naturalnego sprzymierzeńca tyle tylko zrobiła, że napisała parę niedołężnych not dyplomatycznych, skopjowanych z tych dokumentów, które za inicjatywą Napoleona III fabrykowały się w 1863 roku.

Zanim jednak ci panowie rachunku swego nie skończą, dopóty nie rozstrzygniętą będzie kwestja, jakiegoby przyjęcia doznał w Anglji pierwszy lepszy kapitan chiwański. Faktem jest jednak, że na brak gościnności w Chiwie kapitan angielski uskarżać się nie mógł. Przyjęli go tak serdecznie Chiwańczycy, jak tylko mogli i umieli. Chan, przypisując także dyplomatyczne znaczenie podróży Burnabyego, a raczej może pragnąc podtrzymać wiarę ludu w to znaczenie jego podróży, uznał za właściwe wystąpić jako gospodarz *et faire les honeurs de la maison*. Jednym ze swych dworzan kazał powitać Burnabyego u bram miasta i wskazać mu przygotowane dlań mieszkanie, a na dzień następny zapowiedział uroczyste dla niego posłuchanie.

Dom do którego Burnaby zajechał, należał do jednego z bogatych obywateli chiwańskich, a mimo to tak budową jak i wewnętrznem umeblowaniem podobny był kompletnie do tego typu, który już opisaliśmy powyżej. Odznaczał się chyba tem, że posiadał duży i prześlicznie utrzymany ogród. To też melon, który podano Anglikowi na kolację, pomiędzy baraniną, pieczenią końską i owocami suszonemi, ważył co najmniej 40 funtów. Gospodarz wniósł go sam i postawiwszy na ziemi przed Burnabym w naczyniu drewnianem takiem, w jakie wstawiamy małe dzieci, żeby mogły ruszać się swobodnie a jednak nie padać, przeprosił go zwyczajem chiwańskim, za to, że melon jest jeszcze za mały. Chiwańczyk nie zna bowiem granicy w wielkości melonów i największy jest jeszcze dla niego za mały w porównaniu do tej wielkości do jakiej on pragnąłby go doprowadzić. Dlatego też grzeczność i dobry ton nakazuje przeprosić gościa, aby tem dać do poznania, iż się przypuszcza, że on jadał większe, soczystsze i smaczniejsze melony. Wprawdzie coś podobnego przypuszczać o Burnabym było co najmniej rzeczą niewłaściwą; jednakże zkąd miał wiedzieć Chiwańczyk, że w tej wielkiej i potężnej Anglji, królowej mórz i oceanów, melony są do chiwańskich ogórków podobne?

Nazajutrz rano udał się Burnaby na zapowiedzianą audjencją. Żeby jednak odświeżyć się i wyglądać przyzwoicie według rozumienia Europejczyków, uznał za właściwe odwiedzić wprzódy golarnię a następnie łaźnię chiwańską. Owóż w Chiwie sztuka golibrodów nie kwitnie wcale, natomiast kwitnie sztuka goligłowów, albowiem Chiwańczycy obyczajem wschodnim golą sobie głowy, nie dotykają zaś zgoła zarostu twarzy. Tymczasem, jak to zresztą potwierdzi każdy perukarz, można być bardzo biegłym w sztuce golenia na twardej podstawie czaszki, a nie umieć ogolić na miękkiej podkładce policzków. Ztąd też wielebni członkowie cechu chiwańskich balwierzy nie chcieli się podjąć ogolić Burnabyego. Sam on nie umiał, a jako Anglik nie mógł sobie wyobrazić w jaki sposób przedstawiłby się władcy Chiwy z niegoloną od dwóch tygodni, bo od pobytu w Kazali brodą. Ale gościnny gospodarz wyratował go z tej trudnej dylemmy, znalazł bowiem wreszcie żydka, który podjął się tej operacji tem chętniej, ile że nietylko liczył na sowite wynagrodzenie ze strony Burnabyego, ale nadto zwąchał natychmiast, że może złoty zrobić interes. Nie dość bowiem tego, że jego oficyna wejdzie odtąd w modę, ale i bezpośrednio zysk mu obfity przynieść może. Trzeba tylko ogłosić, że będą tu dzisiaj golili twarz Anglikowi, i że kto ciekaw tego widowiska wejść może za odpowiednią zapłatą. Tak też i zrobił sprytny żydek, a oficyna w mgnieniu oka napełniła się tłumem ciekawych, którzy klaskaniem, tupaniem, krzyczeniem, cmokaniem i wszelkiemi innemi sposobami dawali folgę rozmaitym swoim uczuciom, to ciekawości, to oburzenia, to zachwytu, to radości, na widok jak żydek kierezsował na prawo i lewo Burnabyego siedzącego na stole i kaleczył go niemiłosiernie. „Gdybym w mojej podróżnej apteczce, pisze Burnaby, nie miał sporego zapasu plastru angielskiego, to kto wie czy odważyłbym się przedstawić się Chanowi Chiwy w tym stanie, w jakim wyszedłem z tej żydowskiej oficyny. Wyglądałem bowiem jak bursz niemiecki, który świeżo odbył kilkanaście pojedynków na rapiry.“

Z łaźnią sprawa była łatwiejsza, bo wiadomo przecie, że łaziebna instytucja kwitnie tylko na Wschodzie. W łaźni spotkała nawet Burnabyego dość miła niespodzianka. Azjaci są zdania, że nigdy człowiek nie jest tak pochopny do wielomóstwa, jak kiedy leży na miękkiej macie ryżowej, otoczony do koła ciepłą i wilgotną atmosferą, przesiąkniętą wonnemi olejkami. Dla tego też na pogadanki i dysputy naukowe, polityczne i towarzyskie schodzą się do łaźni. Tam się parzą, popijają *sorbety* i rozprawiają ochoczo. Łaźnia, do której zaprowadzono Burnabyego, była pierwszorzędną w stolicy i uczęszczali do niej tylko dygnitarze, uczeni i arystokracja. Wszyscy więc stali jej goście stawili się na godzinę, w której miał przybyć do niej Burnaby, i niepospolicie byli uradowani gdy się dowiedzieli, że on posiada język arabski, odgrywający na Wschodzie tę rolę co u nas francuski. Rozpoczęła się tedy natychmiast nader ożywiona rozmowa, z której jednak większy Chiwa aniżeli Europa odniosła pożytek. Albowiem Burnaby, będąc w mniejszości, zmuszony był tylko odpowiadać na interpelacje Chiwańczyków, nie mógł zaś ani razu znaleść sposobnej chwili, aby im jakiekolwiek zadać pytanie. Dowiedzieli się przeto dużo Chiwańczycy o Europie, my zaś z tej rozmowy w łaźni nie odnieśliśmy żadnej korzyści. (C. d. n.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Elektryczność w magji białej.

Najbardziej magiczna z sił natury — elektryczność, stała się też bogatem źródłem czarów dla wykształceńszych kuglarzy nowożytnych. Sprzyjała temu głównie możność przesyłania jej skutków na dowolną odległość i łatwego ukrycia drutów po których prąd przechodzi.

Wiadomo, że prądy elektryczne indukcyjne, powstałe w cewce Rumkorfa mają własność silnego oddziaływania na organizm a mianowicie kurczenia mięśni. Lekarze stosują tego rodzaju słabe prądy w chorobach nerwów i mięśni, jako środek w wysokim stopniu pobudzający. Działanie zaś to, dla obznajomionych z niem naturalnie, ma jednak w sobie tyle cudowności, że niespodziane użycie go, może łatwo sprawić wrażenie jakiejś wyższej magicznej siły.

Bellachini, jeden z najbieglejszych nowoczesnych magików, korzystał z tego w następujący sposób: Brał laskę magiczną, w środku drewnianą, na końcach metalową i okazując ją zapewniał, iż ma szczególne własności; a mianowicie, że na rozkaz jego chwyta ręce, które ją trzymają i niepozwala palców otworzyć. Kto dobrze obejrzał laskę, ten nie znalazłszy w niej nic podejrzanego łatwo zgodził się na doświadczenie. Wówczas Bellachini zawieszał ją dwoma haczykami na sznurku, wiszącym przed sceną i kazał trzymać pałeczkę dwiema rękami.

— Cóż? Czy możesz pan puścić laskę, gdy zechcesz? — zapytywał.

— Mogę — odpowiadał niedowiarek i na dowód podnosił ręce wolne.

— Tak jest, ale nie będziesz pan mógł, gdy ja na to nie pozwolę, no, proszę, odejmij pan!

W tej chwili amator robił minę kwaśną i przestraszoną, skręcał ręce konwulsyjnie, ale nie mógł ich oderwać od laski. Publiczność śmiała

się a magik jednym rozkazem woli uwalniał więźnia.

Oczywiście w sznurku znajdowały się ukryte dwa druty izolowane idące do maszynki indukcyjnej za sceną, gdzie pomocnik na znak mistrza puszczał lub przerywał prąd galwaniczny.

Inny magik pierwszorzędny, Robert Houdin w bardzo dowcipny sposób stosował elektromagnetyczne własności żelaza. Okazywał on mały kuferek, objaśniając, że może dobrowolnie zmieniać jego ciężkość. Brano go do ręki i sprawdzano, że był bardzo lekki i całkiem pusty. Wtedy magik stawiał go na ziemi i zapowiadał, że na jego rozkaz kuferek stanie się tak ciężki iż go nikt nie podniesie. I rzeczywiście wysilano się napróżno. Na jedno wszakże słowo magika, skrzynka stawała się znowu lekką, widocznie bez udziału jakiejkolwiek machinacji zewnętrznej.

W tym razie, podłoga sceny kryła powierzchnię silnego elektromagnesu, zakrytego bez śladu, a wiadomo, że w takim przyrządzie z chwilą puszczenia prądu żelazo staje się magnesem, mogło więc przyciąganie magnetyczne żelaznego dna skrzynki robić efekt powiększenia ciężkości. Z chwilą przerwania prądu oczywiście i przyciąganie ustawało.

Własności elektromagnetyczne są również niekiedy stosowane przez magików do cudownego wpuszczania w naczynie szklanne monet metalicznych. W takim razie przyrząd elektromagnetyczny ukryty jest w pokrywce naczynia, a przerwanie prądu z za sceny sprawia opadnięcie klapki żelaznej, podtrzymującej pieniądz. Tenże sam magik w swoim teatrze w Paryżu pierwszy zastosował inną efektowną własność elektryczności.

Wiadomo, że prąd przebiegający przez dwa druty przerwane, daje iskrę i że ta iskra zdolna jest zapalić gazy łatwo zapalne np. parę eteru, ligroiny, a nawet zwykły gaz węglowodorowy używany do oświetlania. Tym sposobem magik mógł, niby na rozkaz woli, zapalać współcześnie wszystkie lampy swego teatru a także gasić je nagle, zapomocą odpowiedniego przyrządu elektromagnetycznego, który kurki gazowe przykręcał. Urządzenie takie było jeszcze przed kilku laty tajemniczem i dopiero w zeszłym roku zastosowano je w niektórych dzielnicach Londynu.

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Genewa, 1. kwietnia 1879 r.

Chcę pomówić dzisiaj o dziele rosyjskiem, które wprawdzie nie odznacza się ani nowością poglądów, ani pięknym wykładem, ale ma to praktyczne dla nas znaczenie, że wypowiada przekonania stronnictwa, które — powiedziałbym — stoi już na przedostatnim szczeblu do władzy w państwie rosyjskiem Stronnictwo to nazywa się carsko-konstytucyjnem. Pragnie ono władzę, obecnie sprawowaną despotycznie przez żandarmów i czynowników carskich, czyli raczej powiedzieć część tej władzy przelać na przedstawicieli narodu czyli raczej na możne i zamożne jego warstwy. Stronnictwu temu chodzi przedewszystkiem o finanse mniej o swobody konstytucyjne. Nie chce ono przewrotu; chce tylko cara opanowanego przez tajną i jawną biurokrację, oddać w ręce ziemstwom. Stronnictwo to, w którem panslawizm zaczyna się zlewać z konstytucjonalizmem, wobec porodowych drgań rewolucjonizmu, w ostatnich czasach krząta się z większą energją o torowanie sobie drogi do władzy. W Petersburgu od stycznia zaczął wychodzić miesięczny jego organ „Russka Sprawa“ pod redakcją Nawrockiego, a w Moskwie ma zacząć wychodzić od lipca czy sierpnia „Russka Duma“, jeśli nie pod redakcją, to przynajmniej pod kierownictwem księcia Jurasowa. „Russka sprawa“ odrazu zajęła wybitne stanowisko pomiędzy czasopismami rosyjskiemi. W piśmie tem głównym rzecznikiem pragnień stronnictwa jest Gradowski, znany nam z platonicznego zalecania się do serc polskich i ze smutnej obrony, której się podjął był przed Kostomarowym w sprawie naszej.

Dzieło to, o którem chcę mówić, nosi tytuł „Istoryczeskije Oczerki Rassii ad wremieni krymskoj wajny da zakluczenija berlińskawo dagawora. 1855—1878.“ Leipcig. 1878 r. (Historyczne zarysy Rossji od czasu wojny krymskiej aż do traktatu zawartego w Berlinie). W końcu zeszłego roku wyszedł jeden tom, mają się jeszcze trzy pojawić. Autorem tego dzieła jest osoba, zajmująca wysokie stanowisko w carstwie rosyjskiem.

Autor wyznaje centralistyczne przekonania: zwolennikiem jest politycznej jedności carstwa, przewagi rosyjskiego plemienia i większego spojenia organizmu politycznego przez kolonizację rosyjską. W tym względzie surowe nawet czyni wyrzuty Aleksandrowi II., że dla sprawy despotyzmu zapominał o sprawie narodowej.

Posłuchajmy.

„Na zachodnich kresach, zamieszkałych przez ludność polską, litewską, niemiecką i fińską, nikt nie myślał o kolonizacji rosyjskiej, z wyjątkiem Murawiewa, który protegował nielicznych tam starowierców. Przeciwnie, do prowincji tych otwarto na oścież wrota cudzoziemskim żywiołom, zwłaszcza Niemcom; Czechów zaś sam rząd nawet zapraszał.“ Dalej autor mówi o prowincjach nadbaltyckich i Finlandji i kończy temi słowy: „A więc na zachodnich kresach, gdzie Katarzyna i Mikołaj starali się tak troskliwie o nasadzenie żywiołu rosyjskiego, w ostatnich czasach odbywał się jego odpływ wraz z napływem cudzoziemskich' żywiołów, szczególnie niemieckiego. Do Polski i południowo-ruskich prowincji przybywało corocznie 40.000 Niemców, i tylko zaprowadzenie powszechnej wojskowej służby w 1874 r., wstrzymało cokolwiek ten napływ germanizmu.“

„Na południe od Kurlandji po obu stronach Niemna, rozciąga się *Litwa*, odwieczni mieszkańcy której są pokrewni z ludnością powyżej wzmiankowanej prowincji i południowych Inflant, różnią się tylko tem, że oddawna popadli pod władzę nie niemieckich mieczowych rycerzy, lecz szlachty polskiej, aż wreszcie nad jednemi i drugiemi zapanowali Rosjanie. Litwini w nadbaltyckich prowincjach powiększej części są protestanci, gdzieniegdzie prawosławni, na Litwie — przeważnie katolicy. W ten sposób w obu częściach swej ojczyzny mają przeciwko sobie i nad sobą, oprócz władz rosyjskich, jeszcze dwie potęgi, które lubo różne, w jednej rzeczy są zupełnie podobne do siebie: w systematycznem gnębieniu narodowości litewskiej. Zdawałoby się, że na takim gruncie, nie ma się co obawiać opozycji i powstania ludu i należało się tylko stanąć po stronie ludu przeciwko jego wyzyskiwaczom — z jednej strony przeciwko Polakom i księżom, a z drugiej przeciwko baronom i pastorom — i ponad wszystkiemi postawić światłych i ludzkich przedstawicieli panującego plemienia, a pognębieni i biedni Litwini staliby się spokojnymi przyjaciółmi narodu rosyjskiego. Nic podobnego nie uczyniono, i Litwini podczas polskiego powstania 1862—1863 r. mocno współczuli i pomagali Polakom, nie zaś Rosji. Nawet po 1863 r., kiedy rząd jął się stanowczych środków przeciwko żywiołowi polskiemu na Litwie, życzliwość Litwinów ku Rosjanom wcale nie wzmogła się, ponieważ murawiewskie rządy, zaprowadzone w tym kraju jako narodowo-rosyjski system, nic prócz wstrętu wzbudzać nie mogły. Wprawdzie, następnie rząd szukał takiego punktu oporu na Litwie, któryby ułatwił mu skierować tam sprawę korzystnie dla Rosji, lecz w rzeczywistości punktu tego nie znalazł. Nie mogły przecież przywiązać lud litewski do rosyjskiego, ani zaprowadzenie rosyjskiej wielkiej własności, ani nawet obfite nadzielenie włościan gruntami przez komisje weryfikacyjne, które przy tem postępowały bez wszelkiego systemu i z największą dowolnością. Zarząd wojenno-policyjny, jaki panował w kraju w przeciągu piętnastu lat, i pozbawienie narodu dobrych sądowych instytucji w ciągu przeszło dziesięciu lat (dla czego dziesięciu ?!) mogły tylko powiększyć antagonizm panujący.“

Wszakże autor mniema, że Litwa ściślej jest spojona dzisiaj z Rosją, aniżeli była dawniej. Do tego miały posłużyć: szeroka sieć kolei żelaznych, łącząca Wilno, Grodno, Kowno z Petersburgiem i Moskwą; nasadzenie właścicieli ziemskich — Rosjan; usunięcie Polaków od wpływowych administracyjnych posad; założenie ogromnej liczby szkół rosyjskich i wreszcie pobudowanie i naprawa cerkwi prawosławnych. Co do skuteczności ostatniego jednak środka, autor objawia wątpliwość swoją. „O wiele skuteczniej — powiada — aniżeli ten religijno-policyjny srodek nadaniu prawosławiu zewnętrznego blasku, niewątpliwie przyczyni się do zjednoczenia gubernji litewskich z Rosją, zaprowadzenie w nich ustawy sądowej z 1864 r. w całej rozciągłości tj. z sądem przysięgłych. I należałoby pragnąć ażeby w ślad za tym zapowiedzianym już środkiem nastąpił inny i zaprowadzenie instytucji ziemskich, tj. powołanie ludności do udziału w sprawach społecznych swego kraju, w gospodarstwie miejscowem, w sądach pokoju itp. W Petersburgu wszystkiego tego jeszcze mocno się boją.“

Dalej autor przechodzi do królestwa Polskiego. Wskazawszy, że od 1864 r. zmieniono tam radykalnie system postępowania, tak dalej mówi: „Zapatrując się ze stanowiska *Il Principe* Machiawela i mając na względzie najważniejsze interesa narodu rosyjskiego, trudno usprawiedliwić sprzeczne postępowanie w przeciągu pierwszych ośmiu i następnych czternastu lat, zwłaszcza rządu „z Bożej łaski,“ który uważa się za nieomylny i nie może odwoływać się do jakichkolwiek bądź innych wpływów i pragnień narodu. My jednak nie wyrzekniemy potępienia. Rząd, jak i większa część społeczeństwa rosyjskiego, mniemał do 1863 r., że samorząd administracyjny z dość liberalnemi administracyjnemi instytucjami nie tylko *należy się* Polakom za ich ćwierćwiekowe cierpienia, ale i *wystarczy* do ich szczęścia, nie czyniąc ich szkodliwymi Rosji. Był to błąd naiwny, wynikający z małej znajomości praw historycznych, a znajomości tej Rosjanie za Mikołaja nie mieli zkąd nabyć.“

Z wyjątków tych widzimy, czego mamy się spodziewać od carsko-konstytucyjnego stronnictwa. Nie zmieni ono wcale systemu centralizacyjnego i wynaradawiającego na ziemiach pol-

skich, tak samo jak nie zmieniły go rządy parlamentarne w Prusach. Nie chodzi mu bowiem o szczęście narodów, ale o wielkość państwa, które na tem zależy, ażeby mniejszości uprzywilejowanej szerokie otwierała pole do łupieży i wyzyskiwania wszelkiego rodzaju. Czy ta wielkość państwa nie spada całem brzemieniem także i na pospólstwo rosyjskie, konstytucjonaliści mało troszczą się o to.

Powstanie 1863 r. — jak słusznie mniema autor — było sprawą demokratycznego żywiołu, tj. mieszczan, drobnej szlachty, oficjalistów i niższego duchowieństwa. „Kategorja ta ludzi, lubo przedstawiała rzetelne żywioły stronnictwa polsko-narodowego, nie umiała: 1) Dobrze zorganizować się, a 2) nie znajdowała poparcia ani w górze, w arystokratycznem (raczej szlacheckiem) stronnictwie białych, ani w dole, w ludności rolniczej, najliczniejszej w Polsce. Brakowi współczucia dwóch wielkich warstw narodu dla powstańczego ruchu należy przypisać gwałty powstańców, które stały się najgłówniejszą przyczyną niepowodzenia ich sprawy. Rządowi rosyjskiemu pozostało tylko skorzystać z waśni tej pomiędzy żywiołami narodowo-polskiego życia."

Autor ze współczuciem mówi o całym szeregu ustaw, któremi usiłowano złamać odrębność Kongresówki i przykuć ją na zawsze do caratu. Mikołaja Milutina uważa za jednego z najlepszych mężów stanu Rosji. Przypisuje mu całą zasługę uwłaszczenia włościan i zaprowadzenia samorządu wiejskiego, nic nie wspominając o uchwałach Rządu Narodowego w tym przedmiocie. Powstanie — jak świadczą sami Rosjanie — ku końcowi stawało się coraz więcej ludowem. Oddziały Wróblewskiego składały się prawie z samych włościan. Bosak w Krakowskiem musiał garnący się do walki lud odsyłać dla braku broni. Cóżby więc stać się mogło, gdyby rząd rosyjski zechciał wrócić do dawnych włościańskich porządków, nie uwzględniając manifestów i uwłaszczenia i organizacji gminnej?! Milutin treść miał gotową, trzeba było tylko ją ująć w paragrafy rosyjskie, które z krzywdą ludu nadały czynownictwu wielką przewagę. Miał on — podług autora — wytworzyć całą falangę młodych pracowników, „którzy przejęli się głęboko wielkością swego powołania i wykonali zadanie swoje sumiennie i z energją. Szlachetna i uczciwa (!!) ich działalność po pierwszy raz podniosła wysoko (!!) pomiędzy Polakami imię Rosjan." Tyle w tem prawdy, ile w zasłudze Milutina.

Środki unifikacyjne nie wywarły jednak tego wpływu, jakiego od nich oczekiwano. Przyznaje to autor. Zaprowadzanie języka rosyjskiego w szkołach, biurach i sądach nie osłabiło ani narodowego poczucia, ani narodowej literatury. Reformy wszelkie zawsze dla Polaków są sprawą „moskiewskiego najazdu." Żandarmski, wojenno-policyjny charakter administracji rosyjskiej budzi tylko powszechny wstręt. „Właściciele ziemscy Rosjanie, jenerałowie i czynownicy, właściciele majoratów i probostw byłych, tworzą samą bezbarwną kategorję ludzi, którzy rozrzuceni po całym kraju i nie mając żadnych stosunków, nie wywierają też najmniejszego wpływu. Po większej części i nie siedzą oni w swych majątkach. Zaprowadzenie prawosławia pomiędzy unitami za pomocą gwałtów i oszustwa nie mogło przywiązać ludu do jego oprawców.

Pomimo to wszystko, „Polska dzisiaj mocniej połączona z Rosją, aniżeli dawniej, i wątpliwa rzecz, ażeby mogła oddzielić się od niej bez szczególnie ważnych wypadków". Zdaniem autora, przyczynia się do tego najwięcej obawa Polaków przejścia pod panowanie pruskie. „Wiedzą oni — powiada — że jeśliby ich ziemia stała się prowincją pruską, nastąpiłby bardziej stanowczy koniec polskości, aniżeli ten, jaki wygłosił Kościuszko (zawsze ta sama bajka), rzucając swą szpadę po klęsce pod Maciejowicami." I dzisiejsze wszakże rosyjskie rządy nie bronią Kongresówki od posuwającej się ku wschodowi germanizacji. „Corocznie" — powiada — liczba pruskich właścicieli i niemieckich przemysłowców i włościan powiększa się w gubernjach: kaliskiej, płockiej, piotrkowskiej i warszawskiej. Miasta: Łódź, Zgierz, Zduńska-Wola, Kalisz, stają się coraz bardziej niemieckiemi, i Polacy nie bez żalu czynią uwagę, że zapewne z Berlina polecono administracji petersburskiej przygotować zachodnią Polskę do połączenia się z Prusami tak ażeby, te ostatnie co najmniej miały kłopotów."

Stronnictwo panslawistyczno-konstytucyjne nie lubi Niemców i z zawiścią patrzy na ich panowanie w Rossji. Autor podaje następujący stosunek baronów ostzejskich w rządzie:

Członków Rady państwa	13	czyli	24%
Senatorów	55	„	35%
Jenerał-adjutantów	46	„	45%
Jenerał-gubernatorów i dowódzców wojsk	7	„	46%
Dygnitarzy dworskich 1szej i 2giej klasy	22	„	20%

Gdyby obliczać w stosunku do ludności to zamiast odsetku 20—40%, Niemcy nie powinniby byli przedstawiać wyżej jak 3—4%. Przytem rząd w lepszych wojskach jak np. w pułkach gwardyjskich prawie wyłącznie samych Niemców wyznacza na dowódzców. Oczewiście, że książę Bismark ma słuszność, że nie chce siłą odbierać nadbałtyckich prowincji i powiada, że dzisiaj więcej przynoszą one dla germanizmu korzyści, aniżeliby przynosiły wówczas, kiedyby weszły do składu Prus. Utrata Kurlandji, Inflant i Estlandji jest pewna, podług autora, jeśli rząd z wyższych posad nie pousuwa Niemców, którzy lepiej służą od Rossjan... „wszakże nie Rossji, tylko despotyzmowi petersburgskiemu, dynastji holsztyńskiej i chorągwi wszechgermańskiej, na której od czasów Ottona Wielkiego wypisano: *Drang nach Osten.*

Parcie to doprowadzi rychło do gwałtownego starcia się. Dopóki żyje dzisiejszy król Wilhelm, który dał słowo, że prowadzić wojny z Rossją nie będzie, możemy być spokojni, powiada autor, lecz wraz z jego śmiercią wojna rosyjsko-niemiecka stanie na porządku dziennym Europy. Są ważne ku temu powody: 1. Rossja przeszkodziła Niemcom rozpocząć wojnę z Francją w 1875 r. i nie dała zupełnie jej pognębić; 2. pangermanizm z zaostrzonym apetytem łakomie spogląda na prowincje nadbałtyckie i zachodnią Polskę; 3. Rossja najwięcej przeszkadza Niemcom do zagarnięcia Danji, Holandji, Szwajcarji; 4. Niemcy chcą gwałtem utworzyć z Rossji rynek dla swoich wyrobów fabrycznych. Wojna jest nieuniknioną w niedalekiej przyszłości, a wówczas Rossjanie żałować będą, że w 1870 r. nie pozwolono Austrji wmięszać się do sporu francusko-niemieckiego i nie skorzystano z tego, ażeby z jednej strony przeszkodzić Prusom wzmódz się, a z drugiej strony odebrać od Austrji rosyjskie ziemie tj. wschodnią Galicję, o której już Bohdan Chmielnicki powiadał: „Znaj, lasze — po San nasze..."

Do prowadzenia wojny z Austrją są także bardzo ważne powody, i wojna ta nieuniknioną, chyba... że Austrja stanie się państwem słowiańskiem. Zkąd taka konkluzja, trudno zrozumieć, wszak i Polska była państwem słowiańskiem. Powody niechybnej zbrojnej walki pomiędzy Austrją i Rossją, podług autora, są następujące: 1. Austrja w składzie swej ludności ma 50% Słowian, którzy zawsze wyglądać będą od Rossji pomocy przeciwko uciskowi niemieckiemu i węgierskiemu; 2. trzy czwarte Austrji leży w basenie Dunaju, którego jednak ujścia już do 1856 r. należały do Rossji; 3. że oswobodzone słowiańskie państwa nad Dunajem staną się punktami atrakcyjnemi dla Słowian austrjackich, skutkiem czego Austrji zagraża zupełne rozpadnięcie się; wreszcie 4. że Rossia jest główną współzawodniczką monarchji Habsburgów w panowaniu na półwyspie bałkańskim.

Stronnictwu, którego jednym z ważniejszych koryfeuszów jest autor wzmiankowanego dzieła, sprzyja podobno dzisiejszy następca tronu, a zwłaszcza w niechęci ku Niemcom. Wojna więc rossyjsko-niemiecka może rychlej, niż się spodziewamy, rozgorzeć nad naszemi głowami.

Czy zyska co na tem Polska? C'est selon, jak powiadają Francuzi. Przygotuje się do wypadków, to będzie mogła odegrać czynną w nich rolę. W każdym jednak razie ta żelazna obręcz, którą skuło potrójne przymierze, może pęknąć stanowczo. Narodziny potrójnego przymierza opisał świeżo Albert Sorel w dziele pt. *La question d'Orient au XVIII siècle. Les origines de la triple alliance.*" Paris, 1879. Sorel opowiada szczegółowo, jak Austrja, Prusy i Rossja, przeszkadzając sobie wzajemnie rozebrać Turcję, zgodziły się wreszcie wynagrodzić to sobie na Polsce. Myśl pierwsza tego niecnego czynu powstała w głowie Frydryka II. W lutym 1769 r. przedstawił on projekt podziału Polski, jakoby pochodzący od dawnego dyplomaty, hrabiego Lynar. W tym projekcie wyznaczał sobie Prusy królewskie i Warmję, Austrji, miasto Lwów i Spiż, Rossji „taką część Polski, jakąby chciała uchwycić." Austrja dała pierwszy przykład czynnego wystąpienia w rozbiorze. Wiosną 1770 r. pod pozorem dokładnego oznaczenia granic, którego by nie przekraczały ani Turcja, ani Rossja w wojnie pomiędzy sobą, zajęła swem wojskiem starostwo Spizkie w Tatrach położone a rzeką Popradem oddzielone od województwa krakowskiego. Kraj ten, obejmujący 16 mil kwadratowych z 20,000 ludnością i stolicą Lubowlą, wcielono do Węgier. Gubrnatora tej urwanej części rzeczypospolitej nazwano *administrator provinciæ reincorporatæ*. „Katarzyna rossyjska i ja, powiedział Frydryk, tośmy dwaj zbóje (deux brigands); ale jak ta dewotka, cesarzowa-królowa, załatwiła się ze swoim spowiednikiem?" Załatwiła się dobrze, bo w podziale 1772 r. wzięła najlepszą część łupu. Wspólnictwo w rozbiorze Polski stało się podstawą potrójnego przymierza, które jak mniema autor, pomimo różnych zmian przetrwało aż do chwili obecnej. Podział Polski zgubnie wpłynął na publiczne europejskie prawo. Po kwestji polskiej przyszła kwestja wschodnia, a po kwestji wschodniej przyjdzie kwestja austrjacka. Taką jest konkluzja autora.

Kombinacje jednak polityczne ustępują dzisiaj miejsca trwogom społecznym. Straszna nędza żre Niemcy, Włochy, Anglię, zwłaszcza An-

glję. Dosięgła tam ona przerażających rozmiarów. Dziesiątki tysięcy robotników mrą z głodu. Sheffield, Blackburn, Denmar i inne przemysłowe punkty wyglądają jakby po dżumie jakiej. Nic więc dziwnego, że przestraszone umysły zwracają się z zapytaniem ku przyszłości. Takie też pytanie stawia jeden z najwięcej cenionych obecnie ekonomistów angielskich, Thompson, i odpowiada na nie w niedawno wyszłej broszurze: *O przyszłości handlu.*

Przytoczę z niej następujący ważny ustęp. „Przesilenie obecne, powiada autor, o wiele jest silniejsze od przesileń 1837 i 1856 r., które skończyły się ostatecznie przewagą przemysłu angielskiego w Europie. Dzisiejsze doprowadzi do odmiennego rezultatu. Narody i rządy starają się obalić tę przewagę, którą Anglja wywalczyła oceną ogromnych wysileń i wielką swą zręcznością. Wówczas używała swych olbrzymich kapitałów tylko na ugruntowanie swego fabrycznego przemysłu. Równocześnie przeszkadzała jego rozwojowi w Indjach, Turcji i Portugalji; przebiegłością handlową tamowała jego postęp w Niemczech i Rosji. Doktryna swobodnego handlu oddała Anglji nieocenioną usługę. Skoro bowiem obalono zawady protekcyjne, naród najbogatszy, najwięcej uposażony w narzędzia pracy, najsilniejszy, z konieczności musiał wziąć przewagę nad innemi od chwili, kiedy zaniedbawszy rolnictwo, oddał olbrzymie swoje kapitały na usługi przemysłu. Dzisiaj położenie rzeczy zmieniło się. Narody postanowiły uwolnić się od monopolu Wielkiej Brytanji. Stany Zjednoczone wskazały im drogę. Zawdzięczając najbardziej radykalnym protekcyjnym środkom, nie tylko zdołały wypchnąć z rynków swoich wyroby angielskie, ale nawet stanęły z niemi do współzawodnictwa na samym gruncie Wielkiej Brytanji“.

Thompson stara się swoich rodaków przygotować do strasznej katastrofy przemysłu angielskiego i skłonić, by pomyślano zawczasu o zwróceniu sił ekonomicznych na inne pole. Tem polem, jak wskazuje opinja publiczna, ma być rolnictwo. Wraz z tym zwrotem występuje na porządek dzienny kwestja agrarna. Radykalne jej rozwiązanie ma w Anglji większą popularność, aniżeli mniemają to gdzieindziej. Za przykładem Johna Stuarta Milla, radykalni republikanie, jak Maxse, Syme, Hoskyns, Cliffe, Leslie, Beesli, Wilson i inni, objęli tam w programacie swoim wywłaszczenie wielkich właścicieli ziemskich na korzyść całego narodu, co się nazywa u nich unarodowieniem gruntu. *B. L.*

JESIEŃ POKUTNICA.

Zima pod bokiem. Horyzont dokoła,
W szare się barwy poszył, zasępiony.
Wicher północny z drzew zwisłego czoła,
Ostatnie, świeże pozmiatał korony.

Zmilkły zarośla. Gdzie łaskawsze nieba,
Tam pieszczhły nucić ptaszęce kapele.
Od ciągłych deszczów wskróś przemokła gleba,
Pasmem się kałuż brudnożółtych ściele.

Nim przyjdzie Grudzień, na drzemkę zimową,
Śnieżnemi puchy, wymościć jej łoże,
Natura macierz w proch poniklszy głową
Z wdzięków się swoich rozbiera w pokorze.

Któżby, pytany w tej posępnej chwili,
Odgadł majowych rozkwitów godzinę?
Kto w onym pęku wpół uschłych badyli,
Gwarną onegdaj poznałby gęstwinę?

Ach! Nikt zapewne z tych niewdzięcznych grona,
Co, wczoraj jeszcze, pod jej wonnym cieniem,
Hożą bohdankę hołubiąc u łona,
Budzili echa rozkoszy westchnieniem.

Nikt z tych, co miękkim lubując się wczasem,
Kiedy lipcowe przypiekały skwary,
Pod szmaragdowym gałązek szałasem,
W szumiące trunkiem dzwonili puhary.

Gdyby ta dzisiaj tak pusta dąbrowa,
Gdyby te dzisiaj tak bezludne knieje,
Mogły, szum tęskny układając w słowa,
Wiosenne swoje opowiedzieć dzieje.

Wiele, wstecz temu miesiąc, dwa, nie więcej,
W gęstwi ich, kędy, prócz księżyca błysków,
Nikt nie szpiegował skromności dziewczęcej,
Wiele się czułych oddało uścisków?

Wiele, gdy huczna myśliwska drużyna
Wracając z łowów, legła tu taborem,
Wiele się dzbanów i miodu i wina,
Pod tym, tam w głębi, spełniło jaworem?

Wzrosłaby księga poważnych rozmiarów,
Brzmiąca na przemian, to tkliwie, to butnie,
Pindar wioskowy, Anakreon jarów,
Moglib' z niej stroju zaczerpnąć na lutnię.

Wszystko przemija. Gaj osamotniony,
Ni już wiwatów, ni cmoków nie słyszy,
Wycie li wilka, krakanie li wrony,
W smętnej dziś jego rozlega się ciszy.

Mgły więc kapturem blade kryjąc lica,
Gdy mroźne zimy wieją k'niej oddechy,
Zlewa się łzami jesień pokutnica
Za grzeszki wiosny i za lata grzechy!

Paryż d. 28. Września 1878 r.

J. S. Chamiec.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

Dyplomacja Gioachina.

— Ci natrętnicy, ci nudziarze! A toż ich się nie sposób pozbyć! Powiedziałby kto że chyba we mnie tkwi jakiś magnes? A skoro przyjdą, siedzą bez końca, ani się myślą ruszyć; muszę jak dzieci odsyłać ich do domu. Że Romolo przychodzi, to mnie nie dziwi; założyłbym się, że i dziś jeszcze ku większej uciesze swych przyjaciół pisuje sonety i akrosztychy. To stare dziecko i nie ręczyłbym, prawdziwie, czy dotąd nie rośnie jeszcze; ale co tu ma do roboty codziennie ten drugi? pewnie chce napoić oczy trofeami swego zwycięztwa! Szczerze mówiąc nie są dwaj ale raczej para.

Tak mówił doktor Rocco częścią z nawyknienia do gderań i częścią też dla wysunięcia na światło najsilniejszej swej strony: humoru; w gruncie rzeczy przecież ci dwaj nudziarze byli dlań istną z nieba manną.

Gioachina bezwładną swą ręką zakuł w kajdany, a na pamięć znał receptę, za użyciem której nieszczęsny Romolo kraśniał jak mak polny. Pozyskał dwu nowych przyjaciół, swój dwór, swoją publikę, — przedewszystkiem wszakże miał pod ręką dwie nowe ofiary do napaści w chwilach gniewu i rozdrażnienia, w chwilach zaś dobrego humoru wyrozumiałe audytorium.

Bo obaj przyjaciele pozwalali mu na wszystko.

Gioachina umiał zręcznie przegrywać w domino, szachy, warcaby i taroka; bo doktór Rocco zwykł był tegoż samego wieczora po kilkakroć zmieniać grę, by się nacieszyć swemi tryumfy w różnej formie.

Czasami, ale to rzadko, Gioachino pobudzony szyderstwem zwycięzcy, buntował się, jego upokarzana próżność podnosiła głowę i zadawał przeciwnikowi mata lub brał królowę; ale wówczas zasępiało się oblicze doktora, szukał tysiącznych wymówek, któremi uniewinniał swe błędy,— to oświetlenie było tak złe, że nie mógł dobrze rozpatrzyć się w grze, to Romolo swoją rozmową rozerwał jego uwagę,— jeśli wszakże to wszystko nie pomagało, wówczas uciekał przed przeciwnikiem po za szaniec swej podagry a wtedy już było po wszystkiem; niepodobna już było słowa z niego wydostać, albo w najlepszym razie mówił bez ceremonji: Już późno, dzieci, wynoście się do domu!

Pewnego dnia gdy przyjaciele wstawali od obiadu i uskarżali się obaj na ryż przegotowany i niesmaczny szpinak, zauważył Romolo, że właściwie w restauracjach nie obiaduje się ale co najwyżej tylko nasyca.

— Obiadować, — wtrącił Gioachino znaczy to użyć wszystkich kulinarnych przyjemności, t. j. siedzieć wpośród przyjaciół, jeść zmacznie ugotowane potrawy i zaprawione to wszystko jeszcze wysołym humorem i dowcipną rozmową.

Nagle przyszła im obu myśl wyborna: cóż gdybyśmy się tak stołowali u doktora Trombetty? On ma doskonałego kucharza.

— Odmówi niezawodnie, — odparł Romolo.

— I ja się tego lękam, a raczej jestem o tem z góry przekonany; chcąc cośkolwiek wymódz na doktorze Rocco trzeba naprzód pokonać jego odmowę, bo on poczyna wszystko zawsze od „nie“. Gdyby go tak jednak pochwycić w dobrą chwilę!

Wieczorem Gioachino przy szachach pozwolił sobie po trzykroć raz za razem dać mata, został na głowę pobity w domino i warcaby i ze stoicznym spokojem wytrzymał cały grad grubiaństw ale w chwili gdy doktór tryskał dowcipami, umiał zręcznie jakoś westchnąć i poskarżyć się na okropny stół w restauracjach, tak że skarga nie przebrzmiała niepostrzeżenie.

Doktór nie posiadał się z radości i zgodził się na plan powzięty natychmiast.

Gdy prowadząc się pod rękę powracali do domu, spytał Romolo swego towarzysza:

— Jakim sposobem wymogłeś na nim przystanie?

— Rzecz prosta. Postawiłem go w położeniu wyboru między nędznem „nie“ a wspaniałomyślnem „tak“.

— To prawda, że „tak“ częstokroć jest większem i wspaniałomyślniejszem niż „nie“.

— Nietylko częstokroć ale niemal zawsze. „Tak“ lub „nie“ bywa wedle okoliczności....

— Wielkiem lub małem...

— Pozwól że mi wszystko powiedzieć...

— Przepraszam, pozwól, że ja pierwej dokończę; przyszła mi myśl, myśl świetna: w ogólności „nie“ małych bywają wielkiemi a „nie“ wielkich małemi.

— Wielka prawda; bo jeśli jaki mały człowieczek powiada: tak, każdy sądzi, że czyni to z obawy, podczas gdy toż samo słowo z wysokości rzucone wydaje się szlachetnem i wspaniałomyślnem. Włożyłem laur wojowniczy na wyłysiałą skroń doktora; — rzymscy zwycięzcy mawiali zwykle „tak“....

Od owego dnia zostali obaj stałymi stołownikami rodziny Trombetta.

. . . .

Któregoś wieczora siedzieli obaj nierozłączni u kominka; w pośrodku siedział doktór Rocco z wyciągniętemi na kracie kominka nogami. Gioachino jak zwykle czytał gazetę głośno, a Romolo który udawał że słucha uważnie, śledził cień ruchomy ukazujący się chwilami na ścianie; czasami zdawało mu się, — gdy zbliżył się do ognia pod pozorem ogrzania rąk rzucić ku niej spojrzenie, ku zawsze drogiej Tranquillinie, a potem wzdychał głęboko ale z zamkniętemi usty.

Zachowaniem tej ostrożności przesyłania westchnień incognito przez nos i wiecznem potakiwaniem doktorowi, wyrobił on sobie prawo przestawania poniekąd sam na sam z swym ideałem, zbudował w duszy ołtarz swym wspomnieniom i bez przeszkody doń się modlił. Bo jakieś przyjacielskie zbliżenie się do Tranquilliny, gawędka z nią o ubiegłych marzeniach, zdała mu się połączoną z niesłychanemi niebezpieczeństwy, naturalnie istniejącemi tylko w jego wyobraźni. Gdybyż choć przynajmniej mógł wiedzieć jak jej płynęło życie u boku takiego męża! Czy była szczęśliwą? czy on ją często martwił? I jakim sposobem po tylu latach mogła pozostać jeszcze tak miłą i piękną?

Po za tą powodzią pytań, któremi zasypywał zwykle Gioachina, kryły się jeszcze setki innych, które ledwie śmiał sam sobie zadawać w myśli.

Czy też pamiętała go zawsze? Lub czy też przynajmniej pomyślała o nim choć czasami? I czy w jej sercu pozostało coś — jakiś ślad choćby — dawnej skłonności?.

Jedna nie opuszczała go nadzieja, że z czasem zdoła bez drżenia i obawy podnieść oczy na swój drogi ideał, że z czasem z zaparciem się samego siebie zostanie bezinteresownym przyjacielem Tranquilliny.

Bo dość byłoby aby mu powiedziała: „Chcesz być moim przyjacielem?“ a wówczas nie zbrakło by mu odwagi zrzeczenia się śnionych ideałów i stłumienia w zarodku owego tak późno zrodzonego uczucia, co się żywi dawno przebrzmiałą wielką miłością.

Gioachino więc czytał głośno gazetę; szczęśliwie już przebrnął przez bandy Karlistowskie i doktor Rocco już zdecydował się oświadczyć mocarstwom, że czas byłoby wreszcie położyć raz temu ogólnemu zamięszaniu koniec; potem odczytał telegraficzne depesze, które jak zazwyczaj zbijały jedna drugą i rzucił się bohatersko w owo gniazdo os, zwące się „miejscowemi wiadomościami“.

Tu doktór był na właściwem sobie polu; co chwila miał temat do obwinień Opatrzności.

Na ten raz schwytano jakiegoś ulicznika na kradzieży, starca przejechała dorożka, z Nawigljo* wyciągnięto trupa człowieka, który rzucił się tam dnia poprzedniego; doktor Rocco uśmiechnął się gorzko:

— Mądrze, dalibóg mądrze! — wybuchnął wreszcie — prawdziwie mądrze! Biednemu zgłodniałemu chłopcu pozwolić sięgnąć do kieszeni wypasionego bogacza i w tejże samej chwili naprowadzić wałęsającego się żandarma; niezłe, wcale niezłe! godne takiej potęgi! Biednego starca uszczęśliwić głuchotą i podagrą i dozwolić mu wyjść właśnie we właściwą chwilę by się dostał pod koło przejeżdżającego powozu — i to ładne! A jakaż to dowcipna ta komedyjka z nadbrzeża Naviglio! Prawda, że powtarza się ona trochę za często ale nie nudzi nigdy, bo motywa do niej są po największej części zajmujące!

Po za temi napaściami perjodycznemi na porządek świata, kryła się u doktora teorja a raczej pewien rodzaj religji. Doktor Trombetta był materjalistą i nie trudno było o zdeklarowańszego materjalistę nad doktora Trombettę; gdyby nie to, że materja istniała od początku, najniezawodniej doktór Trombetta byłby ją w świat wprowadził. Groźby więc jego były najczystszą tylko przenośnią, ilekroć zarzut robił jaki opatrzności, była to prosta metafora. Owa potrzeba zwalenia własnej bezsilności na barki jakiejś wszechpotężnej istoty, nie czyniła u niego bynajmniej ujmy wyznawanym teorjom.

— Opatrzność! mruczał doktor. Pytajcie o nią tego pana, co to zeszłego roku rzucił się z wieży katedralnej na bruk i owego innego, co przybył do Petersburga i właśnie w sam czas stanął tam na to, by zostać zabitym przez ów meteor w ludzkiej postaci!... Ale co z panem? jużeś pan w obłokach! — on nic nie słyszy, nie uważa — Tranquillino, poproś też pana Romolo, by z obłoków zechciał zstąpić do nas.

Pan Romolo zstąpił a ujrzawszy się znów wśród tak poziomego świata, nie wiedział co powiedzieć, zaczerwienił się i zauważył, że „opatrzność“......

„Śluby“ czytała opatrzność w postaci Gioachina.

— Brawo! słuchajmyż kto się z kim ożenił! — rzekł doktor.

— „Camillo Soawi, lat 23 i Giuseppina Corsi, wdowa, lat 36.

— Gdzież ten pan Camillo podział rozum, że się zaopatrzył w tak starą żonę?

Pan Camillo wyszedł jeszcze tanim kosztem, dzięki pośpiechowi, z jakim czytał dalej Gioachino:

— „Silvio Gioli, lat 30 i Serafina Placidi, lat 19; Sempronio Valli, lat 55 i Gabriella Remolli, wdowa, lat 50“

— Wdowa i pięćdziesięcioletnia! Lat pięćdziesiąt i wdowa! Ot macież znów opatrzność! Wszystkie Gabrielle w świecie znajdą swych Semproniów, niektórym dostanie się po dwóch nawet; tylko moja, co jest tak piękna jak....

— Anioł, uzupełnił Romolo,

— Dobra jak....

— Marcepan — dokończył Gioachino.

— O, jeszcze lepsza, ona, co ma rozum, wdzięk i dowcip, nie może dostać żadnego.

Nastała chwila milczenia, poczem doktor Trombetta ciągnął dalej.

— Mnie podagra skazała na bezczynność; gdybym przecież miał dawne me zdrowe nogi, przysięgam wam, że natychmiast wyprawiłbym się na sprowadzenie z kawiarni lub klubu odpowiedniego męża dla mej córki; a pochwyciwszy go za kołnierz i przywlekłszy do domu, rzuciłbym go do nóg Gabrielli i tak jej powiedział: „Patrzaj, to twoja własność! Przebacz mu, że nieprędzej przyszedł, bo to próżniak ale za to szczerze on straconego czasu żałuje; zawróć mu głowę, niech wzdycha, na to on zasłużył, zmuś go do pisania akrosztychów i sonetów, jeźli nie umie niechaj się tego nauczy lub wreszcie weźmie sobie pomocnika, a gdy odpokutuje za wszystkie swe grzechy, wówczas niechaj się z tobą żeni...“ Tak, ale nogi już nie służą a prawa ręka całkiem do niczego...

— Możnaby .. — przerwał Romolo nieśmiało.

— Naturalnie, że możnaby, można! módz trzeba koniecznie! Nie jesteścież mymi przyjaciołmi? Alboż nie kochacie też obaj po troszę mojej córki? A w waszym wieku czując dla ośmnastoletniej dziewczyny nieco sympatji, czyż sądzicie, że na jej dowiedzenie wystarczy komplement, uprzejmy uśmiech lub drobny podarek? O nie, moi panowie, musicie postarać się jej o męża.

Obaj przyjaciele nigdy nie widzieli jeszcze doktora Trombetty w tak dobrym humorze; dość powiedzieć, że śmiał się. Przez chwilę śmiech był chóralnym, potem odezwał się Romolo wpół żartem, wpół serjo:

— Musimy wyszukać dla niej męża i ja mam już jednego na oku!

A Gioachino dodał:

— A ja już go znalazłem i nie wypuszczę.

ROZDZIAŁ III.

Dwaj mężowie w perspektywie.

Gioachino i Romolo schodząc ze schodów domu państwa Trombetta i razem idąc ulicą ku wspólnemu swemu mieszkaniu, nie śmieli się bynajmniej, owszem byli nawet poważniejszymi niż zazwyczaj, poniekąd wzruszonymi nieco.

Szli szybko obok siebie, Gioachino dawał trzy kroki, Romolo doganiał go dwoma; ale obaj milczeli zawzięcie. Nagle Gioachino stanął w pośrodku ulicy, odrzucił w tył głowę i wyciągnął ręce, wymowny gest, który u improwizatorów w zupełności wszelki wstęp zastępuje, ale Romolo szedł dalej ani się odwracając i Gioachino musiał biedz by go dogonić.

— A więc staramy się o męża dla Gabrielli? — spytał po chwili.

— A tak... to jest... starać się mamy... któż wie? Toż mówił że już masz upatrzonego...

— A tyś mówił, żeś go już znalazł.

— *Façon de parler...* czyżbyś rzeczywiście miał kogo na oku?

— A ty?

— Szli jeszcze kawał w milczeniu obok siebie tąż samą ulicą, tym samym trotoarem; zdawało się, że rękaw małego Gioachina przyszyty był do poły surduta Romola, a przecież niebezpieczeństwo rozdziału dwu nierozdzielnych nigdy nie było większem, jak właśnie w tej chwili.

— Jakże wygląda twój pretendent?

— Mam nadzieję, że nie pretendent, ale kandydat.

— Blondyn?

— Nie, brunet... a twój?

— Mój również... Czy bogaty?

— Naturalnie... Twój także?

— Spodziewam się, i mój... chodzi więc o to tylko, który bogatszy... — rzekł Gioachino, chwytając Romola za ramię — a czy piękny?

— Bardzo piękny. Jest łagodnego usposobienia, dobry, skromny... i rozsądny.

Przy pierwszej pochwale Gioachino już nie tak silnie trzymał ramię swego przyjaciela, przy ostatniej puścił je zupełnie, bo niestety! jego

---

*Kanał w Medjolanie.

kandydat nie był ani pięknym, ani nawet rozsądnym, co gorsza był niemal brzydkim i nieco przewrotnym, ale całkiem nieszkodliwie przewrotnym. Nie było więc ratunku! Tu rozchodziły się ich drogi; pozostawała im przecież wspólna pociecha, którą zręcznie podniósł Romolo.

— Nie mów mi, na Boga, kto jest twoim kandydatem, nie chcę wiedzieć; a skoroś go już pewny, tem lepiej! To szczęście nawet, według mnie, że mamy aż dwu kandydatów naraz.

— I ja tak sądzę — dorzucił Gioachino — to szczęście, że mamy dwóch; pomyślno czyby ci czasem jeszcze z jeden nie przyszedł na myśl, i ja się zastanowię. Gdybyśmy tak zebrali z jakie pół tuzina i jednego po drugim mogli przedstawić naszej maleńkiej królowej, czyż sądzisz, że w tem byłoby co złego?... Ja nic złego nie widzę, przeciwnie warto zebrać ich jak najwięcej, samych pięknych, młodych, zdrowych chłopców! Ale dajmy pokój żartom, narzeczony nie tylko *nam* musi się podobać...

— Naturalnie nie *nam* tylko, ale przedewszystkiem dziewczynie. Przecież nie będziem wymagać aby wyszła za pierwszego lepszego!

— Broń Boże! Powinna go wybrać sama.

— A skoro ma wybierać, musim więc co najmniej dwóch przedstawić kandydatów, rzecz więc idzie wybornie; ty masz twego, ja mego. W jakimż twój wieku?

— Tak mniej więcej od trzydziestu pięciu do trzydziestu ośmiu lat, ale wygląda bez porównania młodziej, a twój?

— Coś również około tego — odpowiedział Romolo.

— Czy zdrów?

— Jak ryba; a twój?

— Mój także; i jest niezwykle silnym.

— Mój nie mniej, i jest wykształconym.

—Jota w jotę! — I Gioachino pochwycił znów ramię towarzysza:

— Aj, zobaczmyż...

— Wzrost! Jakże tam z wzrostem?—spytał Romolo z pewną trwogą.

— Jest pysznego wzrostu.

— Mój jest dość niski.

— Mój dość wysoki.

— Ah! — zabrzmiało westchnieniem, poczem nastąpiło głębokie milczenie.

— Doskonale, cudownie! — zawołał po chwili Gioachino nagle, tak jest lepiej...

— Istotnie, tak lepiej... — wybąknął Romolo, który nie pojmował jeszcze owego „lepiej“ swego towarzysza.

— Tak będzie lepiej — powtórzył Gioachino — bo gdyby nasi kandydaci we wszystkiem byli do siebie podobni, to nie byliby już dwoma ale podwójnym egzemplarzem jednej i tej samej osoby.

— Lepiej że twój kandydat jest dość wysoki, mój dość niski, trudnoż wiedzieć co się więcej podoba dziewczynie.

— O, będzie z pewnością wolała małego — rzekł pan Poma; — ja przynajmniej wiem to z doświadczenia, że niscy mężczyźni najwięcej zazwyczaj do kobiet mają szczęścia. I w ogóle twój kandydat niezawodnie odniesie palmę pierwszeństwa, bo jest pięknym a mój nie, ale... w gruncie któż wie, czy tak nie lepiej.

— Z pewnością, że tak lepiej.

— Ale Gioachino westchnął mimowolnie a ostrożny Romolo przez nos wysłał westchnienie; mimo wszystko *nie* było to lepiej, nie, doprawdy! Cokolwiekbądź nie przytaczali, by się wzajem przekonać, nie udawało im się to jakoś, przeciwnie, przekonywali się coraz to więcej o tem, że byłoby nieskończenie lepiej, gdyby się byli zgodzili na jednego kandydata, którego wspólnemi siłami możnaby pochwycić, przedstawić i albo wspólny odnieść tryumf, albo ciężarem kosza podzielić się po bratersku, by potem na nowo ręka w rękę, wzajem sobie dodając odwagi, wyjść znów razem na połów przyszłego narzeczonego dla ulubienicy.

— Szedłbym w zakład, że zgadnę kogo ty masz na myśli — ozwał się strapiony Gioachino.

— Aj, aj! zgadujże....

— Powiedz mi tylko pierwszą literę imienia, ja zrobię potem toż samo.

— E... — rzekł Romolo i po za wielkiem E ukrył westchnienie.

— E... a druga?

— Enea!

— Ferri! — zawołał Gioachino. Twoim kandydatem jest Enea Ferri, inżynier?

— Co? inżynier Enea Ferri jest również *twoim* kandydatem?

Teraz Gioachino stanął już na piękne w pośrodku ulicy i wybuchnął tak niepowściągnionym śmiechem, że przez dobrą chwilę nie mógł sobie dać rady, póki silny napad kaszlu nie położył śmiechowi tamy.

Zakaszlał się raz, drugi, zaklął z śmiechem „ten nieznośny katar“ i pochwycił Romola pod rękę.

— Ja też to pomyślałem sobie zaraz, że i ty mego Eneę musisz wybrać! Toż to urodzony małżonek! Wynajdź mi choć jednego, coby tak jak on skłonnym był do małżeństwa...

— I tak zacnym, dobrym, tak jak on szlachetnym!

— Przytem bogatym, co także nie wadzi...

— Nietylko, że jest bogatym, ale, co lepsza jeszcze, on zarabia wiele; zawód jego przynosi mu nie małe dochody, oprocz tego jest młodym, pięknym, tak, powiedz mi czemu ty nie uznajesz, że jest pięknym?

— Nie twierdzę też, że jest brzydkim — przerwał Gioachino; — w kwestji męzkiej piękności przecież mam me odrębne pojęcia. Podług mnie punkt ciężkości męzkiej urody spoczywa w nosie i oczach; piękny nos i piękne oko to podstawa pięknej męzkiej twarzy. No, a nos naszego inżyniera nie podoba mi się wcale, co zaś do oczu...

Romolo w świetle najbliższej latarni popatrzał na beznaganny profil nosa i żywe, dziś jeszcze błyskające oko przyjaciela; zaledwie jednak zanurzyli się w ciemność, uśmiechnął się zadowolony.

— Powiedz ty mi lepiej — ciągnął dalej Gioachino — jakim sposobem możesz uważać inżyniera Ferri za niskiego; on jest co najmniej o piędź wyższy odemnie. Ty, co prawda, wszedłeś na wieżę kościoła i zdaje ci się, że ja jestem karłem, ponieważ pozostałem na dole.

Romolo uśmiechnął się teraz zadowolony.

— Niechajże tam wreszcie będzie niski lub wysoki, piękny czy brzydki — mówił dalej Gioachino — rzecz główna, że inżynier Enea Ferri jest mężczyzną w całem znaczeniu tego wyrazu, jednolitym, niepodzielnym jak atom.

— Lub jak małżonek...

— Zostańmy przy atomie; co się tyczy niepodzielności więcej mam do niego zaufania.

— Najważniejsza, by nasz Enea podobał się Gabrielli i aby ona...

— Co do Gabrielli, możesz być zupełnie spokojnym, a Enea straci głowę skoro ją tylko zobaczy. Wszystko w porządku. A okażą się jakie przeszkody, toż mamy cztery pięście...

— Powiedz pięć, boć doktor Rocco może nam jedną służyć w potrzebie...

. . . .

Dwaj przyjaciele nieprzerwanie niemal śmiejąc się i żartując doszli wreszcie do domu. Służący właśnie otworzył usta by coś powiedzieć, gdy Gioachino po przez drzwi szklanne dostrzegł jasną smugę światła, padającą z salonu

— Kto tam jest? — zapytał Romolo.

— Pan Federico Melli. Jest tu już od ósmej i nie ruszył się ani na chwilę od kominka; dwa razy wchodziłem tam poprawić ogień i zawsze zastałem go w tej samej pozycji z gazetą w ręku i okiem utkwionem w płomień.

Gioachino i Romolo nie mało zadziwieni byli tą wizytą; cichutenko otwarli drzwi i weszli do salonu.

Federico, piękny mężczyzna lat co najwięcej trzydziestu sześciu o rysach regularnych, na poły jakichś smutnych, na poły sarkastycznych podniósł głowę i uśmiechnął się do obu wchodzących.

— Wreszcie jesteście, próżniacy! — rzekł z wymuszoną nieco wesołością.

Romolo podążył ku niemu.

— Jakże się to stało? Ty tutaj, tak późno!

— Czy cię to dziwi, staruszku? W klubie was ani poświecić od czasu jakeście wyszli na porządnych ludzi, a ja już dłużej bez was nie mogłem wytrzymać, chciałem was ujrzeć, chciałem posłuchać znowu świętego słowa szanownych starców... Wyszliście, Bóg wie dokąd, a że nie wiedziałem co począć z wieczorem pozostałem tu i czekałem na was. Zobaczmyż... która to godzina? — wymówił przyciszonym głosem — zdaje mi się, że kazaliście jakoś dość długo na siebie czekać.

— Już po jedenastej — rzekł Gioachino — ale dobrześ zrobił, żeś tu na nas zaczekał; musiałeś się znudzić djabelnie.

Gioachino i Romolo nie spuszczali z oka swego pięknego gościa, który wziął w rękę obcęgi i regularnemi uderzeniami rozbijał wielką głownię.

— Nie — odpowiedział - wcale nie; pilnowałem tu ognia, bawiłem się przypatrywaniem wesołym iskierkom, które ciskał płomień w swym bezsilnym gniewie; potem przerzuciłem dzisiejszą gazetę, którą znalazłem na kominku, giełda jest ożywiona; kupiłem niedawno jakieś tam papiery i jeśli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, zyskam pięć do sześciu tysięcy lirów... to wcale niezłe, dość jestem rad z tego. Dalej rozbito oddział karlistów, i to mnie cieszy. Zresztą nic osobliwego, ale, prawda, omal nie zapomniałem; z Naviglio wyciągniono trupa jakiegoś młodego człowieka, powody samobójstwa niewiadome, bliższe szczegóły jutro. A więc jutro — dodał wstając, dziś już późno, pójdę; wam niezawodnie spać się już chce, bo założyłbym się, że się kładziecie przed północą, zwłaszcza też od czasu jak zostaliście porządnymi ludźmi.

— Coś zamilczałeś przed nami — przerwał mu Gioachino chwytając jego rękę; — czy cię spotkało coś nieprzyjemnego?

— Mówże otwarcie z twymi starymi przyjaciółmi — prosił Romolo.

— Coś nieprzyjemnego? Czemu? Ja wiodę jak najprzyjemniejsze życie; toż jestem bogatym a gdy gram na giełdzie pewnie kursa idą w górę wedle mej woli, nic mi nie brak, niczego mi nie trzeba, doprawdy niczego, to jest, tak, czegoś mi potrzeba przecież i właściwie po to przyszedłem tutaj aby wam to powiedzieć.

— Czego ci potrzeba?—pytał Romolo a Gioachino powtórzył echem: Czego ci potrzeba?

— Odkryłem skarb.

— Skarb?

— Tak. W pobliżu mojej willi nad jeziorem Puzziano musiano za czasów Napoleońskich wojen zakopać skarb; znalazłem dokument zawierający wskazówki....

— Ale czegoż tobie potrzeba?

— Ależ tego skarbu właśnie! Skoro go znajdę jednakże, nie będę już miał żadnych pragnień.

Uścisnął silnie rękę obu przyjaciołom, włożył paltot i pożegnał się z najswobodniejszym uśmiechem.

Gioachino i Romolo wyprowadzili go aż na schody; gdy kroki jego ucichły już w dziedzińcu, powrócili do salonu i zaraz potem w milczeniu weszli do sypialni.

Naraz odezwał się Gioachino do Romola:

— Nie podoba mi się wyraz twarzy Federica; lękam się, że prędzej lub później zrobi jakieś głupstwo.

— Z niego duch niepokoju, dziwak, serce złote, dobry z gruntu, ale lekkomyślny....

— A jeśli nie wynajdzie sobie jakiegoś celu życia, jeśli go całą siłą woli nie pochwyci — mruknął Romolo, długą swą postać owijając kołdrą — to się obawiam, że przy pierwszej przeciwności...

— I ja się tego lękam; dopóki nie zazna prawdziwej boleści, póty będzie wlókł monotonne swe życie w spokoju? niech jednakże spadnie na niego jakieś zmartwienie, jakie nieszczęście, wówczas....

Koniec leżał jak na dłoni, ale żaden z nich nie chciał wyciągać wniosków.

— Zgaszę lampę.

— Dobrze.

Lampa przecież paliła się spokojnie dalej.

— Dajmy mu żonę! — zawołał nagle Gioachino.

—Żonę, coby go obdarzyła pół tuzinem dzieci, a Federico jest ocalony! — zawołał Romolo.

— Dajmy mu Gabrielę.

— A tamten?

— Pozostanie w rezerwie; jeśli kandydatura Federica się nie powiedzie, wtedy będziem popierać Eneę.

— Biedny Enea!

— Tak, to prawda — mruknął Gioachino — biedak zasłużył na względniejsze obejście! Bo, nie ujmując w niczem zalet Federica, nie umiałbym sobie w całym świecie lepszego wyobrazić małżonka nad Eneę.

— I nie sposób też o lepszego: a jeśli jest taki gdzie na świecie, to zapewne nie Federico; lękam się, że rozśmieje ci się w twarz gdy mu zrobisz propozycję małżeństwa.

— Ty mu zaproponujesz, to *twoja* rzecz.

— Czemu moja?

— Czemu? Boś ty wyższy; pewne propozycje zaś, jak pewne twierdzenia, muszą być wypowiadane z wysokości; radziłbym ci nawet stanąć na palcach, ażeby wyraz „żona" padł nań z o ile można najznaczniejszej wysokości.

Lampa paliła się dość długą jeszcze chwilę w sypialni naszych przyjaciół. (C. d. n.)

Z POLA WYNALAZKÓW.

—*pp*— Według najświeższych wiadomości z Ameryki, próby *Edisona* ze światłem elektrycznem nie powiodły się.

Edison utrzymywał, że przy działaniu machiny parowej o sile 600 koni z jednej stacji elektrycznej potrafi utrzymać w stanie bezustannego gorzenia 20.000 płomieni.

Wynik okazał się zawodnym.

Inne doświadczenie, oparte na urządzeniu knotów platynowych, również się nie udało — wywołanie światła odpowiedniego założeniu wymaga rozgrzania platyny do 2700 stopni, lecz w tem natężeniu platyna topi się.

Najróżnorodniejsze próby, dokonywane w celu usunięcia tego niebezpieczeństwa, wypadły bezowocnie.

Na szesnaście podań, zrobionych przez Edisona do biura patentów o przyznanie mu pierwszeństwa wynalazków w przedmiocie oświetlenia elektrycznością, odmówiono czternaście z powodu zbiegu wniesionych już poprzednio odnośnych żądań przez innych; dwa pozostawiono bez skutku dla braku warunków wynalazczych.

Nie ulega wątpliwości, że urzeczywistnienie usiłowań Edisona, zmierzających do cząstkowego zastosowania jego wynalazku na ciągły, domowy, wszechstronny użytek, byłoby dla ludzkości niesłychanem dobrodziejstwem.

Światło wywołane jego metodą jest czyste, jasne, łagodne, złote, zupełnie do słonecznego zbliżone, lecz niestety, krótkotrwałe, próby najpomyślniej rozpoczynane szybko przemijają.

Dotychczas nie udało mu się utrwalić swych usiłowań i tylko fanatyczni wielbiciele przedsiębierczego myśliciela wierzą w ostateczne uwieńczenie jego usiłowań.

* * *

Pomyślniej możnaby wróżyć o próbach innego na tem polu pracownika p. *Sawyer*.

Lampa tego wynalazcy polega na systemacie ołówka węglanego, zawartego w bani szklannej napełnionej saletrorodem.

Natężenie światła równa się pięciu płomieniom gazowym; płomień daje się kierować jak w zwykłych lampach gazowych.

Niebezpieczną stronę stanowi częste pękanie szkła i następstwa z zetknięcia się z otaczającem zewsząd powietrzem.

Obecnie usiłowania wynalazcy zmierzają ku usunięciu tych trudności, o przezwyciężeniu których bynajmniej nie wątpi; ma już gotowych kilkadziesiąt lamp ulepszonego systematu.

Świadkowie prób dokonywanych na wielką nawet skalę najpochlebniej odzywają się o tym systemacie, który w obecnym już jakkolwiek niedokładnym stanie dałby się korzystnie zastosować w obszernych zabudowaniach, np. w hotelach, łaźniach, bibliotekach itp.

* * *

Trzecia lampa do domowego przeznaczona użytku jest wynalazku *Fullera*.

Był on przez długi czas pomocnikiem i współpracownikiem Edisona, a w świecie wynalazczym zjednał sobie poważne imię.

Między innemi wynalazł sposób przygotowywania papieru z miąższu drzewnego.

Przed kilku laty rozeszli się z sobą z powodu różnicy poglądów na kwestje naukowe.

Edison wszędzie szukał stosowalności praktycznej, Fuller przedewszystkiem zapuszczał się w badania naukowe.

Niezmordowany badacz oddał się z zapałem zgłębianiu zadań odnoszących się do elektryczności i magnetyzmu i stał się pod tym względem najwyższą powagą naukową.

W samotnej pracowni w Brooklyn zajmował się od r. 1874 badaniami nad światłem elektrycznem; jednocześnie zbudował wedle systematu Gramma machinę magnetoelektryczną własnego pomysłu, tak potężną i praktyczną, że natychmiast zastosowaną została przez kompanję telegrafów miejskich do ciągłego użytku.

Obecnie przeszło tysiąc machin Fullera funkcjonuje w samym Nowym Yorku.

Głownem jednak jego zadaniem była lampa elektryczna.

Wreszcie po tysiącznych próbach i usiłowaniach sporządził lampę z knotem platynowym.

Działała przewybornie!

Po odbytych próbach publicznych zawiązała się w grudniu r. z. kompanja z kapitałem miljona dollarów, mająca na celu wyrób lamp i machin elektro-magnetycznych, przeznaczonych wyłącznie do użytku fabryk i wielkich zakładów, gdyż zastosowanie lamp do użytku domowego nie dało się jeszcze osiągnąć.

W ciągu kilku tygodni zaprowadzono nowe oświetlenie w dwudziestu kilku fabrykach Nowej Anglji. Potężne lampy elektryczne o sile 700 do 2000 płomieni gazowych działają bez zarzutu.

Stowarzyszenie zobowiązało się do końca marca zaprowadzić nowy system jeszcze w 75 zakładach.

Zamówienia płyną bezustannie.

Tymczasem Fuller pracował bezustannie nad udokładnieniem lampy i nadaniem jej rozmiarów domowej stosowalności.

Nadmiar wysileń sprowadził zaburzenie w organizmie dzielnego pracownika.

W początkach lutego zaczął się użalać na bezsenność.

W parę tygodni potem, stosując ostatnią śrubkę do ostatniej lampy, stoczył się bez przytomności na podłogę.

Odniesiono go do mieszkania.

Po tygodniu wrócił do pracowni.

W ciągu tego tygodnia choroby i pozornej nieprzytomności padł na nowy pomysł.

Czując się jednak zbyt osłabionym by osobiście wprowadzić nową próbę w wykonanie, przywołał głównego pomocnika i wyręczyciela.

Opowiadał mu swe odkrycie z najdrobniejszemi szczegółami, wskazał grubość magnesów, grubość drutów, rękami i palcami uprzytomniał i uwydatniał wzajemne połączenie drutów i przebieg toków.

— Jerzy, czy ty mię rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział pomocnik.

— Trzeba żebyś mię dokładnie pojął... to rzecz wielkiej wagi.

— Rozumiem, panie!

— Powtórz, pokaż, wyrysuj! — wołał z gorączkową gwałtownością — spiesz się, bo nie mam czasu.

Gdy Jerzy rozpoczął opowiadanie, Fuller wytężył nań wzrok, słuchał, jak gdyby się cały przemienił w zmysł słuchu, wykrzyknął „lampa! lampa zgasła!" pochylił się na krześle i wyzionął ducha.

Wypadek ten miał miejsce 15. lutego.

Śmierć Fullera na długi czas odroczyła mo-

*

ność i prawdopodobieństwo zastąpienia gazu elektrycznością w domowem użyciu.

Edison nie wątpiący o niczem, oświadczył na pogrzebie współzawodnika, że od roku ani na krok pod tym względem nie posunięto się naprzód.

Natomiast oświetlenie fabryk i wielkich zakładów wzmaga się bez przerwy.

Koszt urządzenia oświetlenia za pomocą 18 lamp, każda o sile 2000 płomieni, wynosi 3750 dolarów.

Koszta oświetlenia łącznie z wydatkami bieżącemi i amortyzacją kapitału zakładowego wynoszą 1 dol. 65 centów na godzinę.

Jako szczegół charakterystyczny dodać należy, że na wiadomość o zgonie Fullera akcje wszystkich spółek gazowych w Nowym Yorku i Brooklyn znacznie poskoczyły w cenie.

Z pośród czternastu takich spółek przytoczymy dwie: Brooklin notowane 15. lutego 118, 28. lutego 135—140, Manhattan 146—28. lutego 176 180.

* * *

Zanim kwestja oświetlenia za pomocą elektryczności ostatecznie upraktycznioną i rozstrzygniętą zostanie, umysły badawcze pracują nad udoskonaleniem systemu oświetlenia gazowego.

Z pomiędzy ulepszeń tej sfery uwydatnia się przedewszystkiem wynalazek p. *Timofejewa*, podporucznika korpusu inżynierów okręgowych w Petersburgu, nagrodzony medalem na wystawie paryzkiej.

Wynalazek polega na wydobywaniu gazu naftowego w sposób tani, łatwy, przystępny i żadnego nie nastręczający niebezpieczeństwa.

Wedle systemu p. Timofejewa, można będzie w każdem — najmniejszem nawet mieszkaniu — urządzić gazometr, podobny do obecnie używanych, lecz o tyle doskonalszy że jest zarazem samoprodukującym.

Zapalono gaz i aparat rozpoczyna działać — zagaszono kurek i robota ustała.

Gaz wynalazku p. Timofejewa nierównie jest czystszy i jaśniejszy od dotychczasowego — urządzenie nierównie tańsze, przyrząd bardzo ma być prosty, rury gazowe niewielkie (średnica przeciętna $^1/_8$ — $^3/_8$ cala) koszta oświetlenia w stosunku 12—15 świec stearynowych $^3/_4$ — $^7/_8$ na godzinę czyli od 4 do 12 w nocy 6—7 centów za 12—15 świec stearynowych, cena jednej zwykłej świecy stearynowej.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Niewiadomo czy skutkiem grzechów naszych, czy też stańczykowskich intryg, ale widocznie pan Bóg zagniewany był na nas przez święta; przez cały wielki tydzień i przez dwa pierwsze dnie świąt, niebo płakało rzewnemi łzami, a deszcz ze śniegiem i szronem ciął z iście arystokratycznym sarkazmem rumiane i rozochocone policzki świętalników wędrujących od domu do domu. O ile wiadomości nasze sięgają, mimo niepogody, wszystkie ciasta udały się paniom i zjedzone zostały z dobrym apetytem, o czem panowie lekarze i apteki mające teraz zdwojoną czynność mogą poświadczyć.

Jestto zwyczajną rzeczą po każdych świętach, że ludzie chorują, ale przynajmniej zdrowi są kiedy jedzą. Otóż w Petersburgu car jegomość i tej przyjemności nie zażył, skoro w drugie święto zaraz z rana jakiś Sołowjew przestraszył go niepomiernie wypaliwszy do niego aż cztery razy z rewolweru i to na wiatr... Czego ci nihiliści chcą od tego człowieka? Dwa dni wprzód napisali do niego list, żeby się niczego nie obawiał, a potem narobili mu tyle strachu, że zaraz po wypadku poszedł na spacer, a dygnitarzom powiedział, że teraz jeszcze bardziej kocha Moskali i pragnie ich uszczęśliwić. Dziwny to lud z tych Moskali, sami nie wiedzą czego chcą, a przynajmniej bardzo niedelikatnie i krzykliwie upominają się o konstytucję.

Tyle z zewnętrznej polityki. Z wewnętrznej za to mamy do zanotowania niezwykły ruch i bieganinę panów braci szlachty naszej szukającej pasów litych i karabel, bez których niepodobna jechać na uroczystość srebrnego wesela do Wiednia. Widzieliśmy przed kilku dniami w jednej z restauracji tutejszych, jak pewien obywatel pragnący fizjognomję swoją zaprezentować wiedeńczykom, ugaszczał czterech innych w nadziei, że który z nich pożyczy mu pasa. Szlachta jadła i piła z apetytem, lecz gdy przyszło ad rem, pokazało się, że pasy tak samego gospodarza, jako też i gości i dziewięciu innych sąsiadów, o których była mowa, są zastawione u pewnego izraelity w Tarnopolu, i że prawdopodobnie trudnoby było wszystkim razem złożyć się na wykupienie choćby jednego z tej izraelickiej niewoli. Otóż to jest los taki szlachty naszej!

Wśród rozmaitych debatów nad biedą szlachecką, debatów przeplatanych łzami i starym tokajem, przyszło do tego, żeby zaproponować Zakładowi Ossolińskich wypożyczenie ze zbrojowni jego tych staro-polskich instrumentów. „Co to panie dobrodzieju szlachta ma być gorszego od literatów! Im pożyczają książki, dlaczegożby szlachcicowi nie pożyczono karabelli? Wszak to jest Zakład Narodowy... Jak zdecydowali, tak i poszli, lecz jaki był skutek, niewiadomo.

Tymczasem Lwów do żywego jest obrażony, że inicjatywa tej deputacji nie wyszła od niego, ale z Krakowa, i że odezwę komitetu umieszczono w Czasie a nie w pismach tutejszych. Ignorują nas, rodzoną stolicę Galicji i Lodomerji zrobiwszy z niej moralny Wersal, gdy całe polityczne życie co raz bardziej przenosi się do Krakowa... Tak jest, niestety, schodzimy na drugi plan, a kiedy jeszcze Kraków będzie miał oddany sobie zamek na Wawelu i urządzi w nim rezydencję cesarską — do czego Czas zachęca, to nam niewypadnie co innego zrobić jak tylko wywieszać się na wysokim zamku z desperacji... Od niejakiego czasu Lwów kompletnie zatracił w sobie dawną energję i wyrzekł się wszelkiej inicjatywy w sprawach publicznych, kiedy przeciwnie po nad Wisłą co raz bardziej podnoszą się głowy i dziś właściwie tam koncentrują się i obrabiają wszelkie projekta i plany przyszłego kierunku naszych losów... Smutna to sprawa, a jednak prawdziwa i tem smutniejsza, że Lwów jako stolica i stutysiączne miasto, jeżeli nie rywalizując to przynajmniej działając dodatnio na bieg interesów społecznych, powinien być czemś i dawać znaki samodzielnego życia. Źle zatem, kapitulujemy bez wystrzału.

Jako ostatnie głosy przechodzącej burzy koncertowej z wielkiego postu, mamy zapowiedziane koncerta Towarzystwa mzycznego, koncert Barcewicza z Warszawy, kilka przedstawień amatorskich w kasynie i jedno na rzecz Stowarzyszenia dam dobroczynnych. Benefisy artystów teatru idą już jeden za drugim: król Lear zgromadził liczniejszą niż zwykle publiczność i nie wypadł gorzej od przedstawienia Rossiego: gra beneficjanta pana Ładnowskiego podobała się powszechnie i wypadła świetniej niż zwykle, widocznie artysta ten skorzystał wiele z gry znakomitego włoskiego tragika.

Kilka dni ciepła wyprowadziło prawie całą ludność tutejszą na ulice i publiczne spacery. Wały hetmańskie synowie i córy Izraela zabrali już w swoje wyłączne posiadanie do tego stopnia, że innej mowy prócz szwargotu żydowskiego na nich nie słychać, a szkarpy czyli tak zwane Gubernatorskie wałyzaannektowali synowie Marsa wraz z kucharkami i niańkami, prowadzącemi tam dziatwę obywatelską na *egzercyrkę* wojennomiłośną... Dla zwykłych zatem i tolerowanych jeszcze śmiertelników, pozostaje wysoki Zamek i górne sfery Jezuickiego ogrodu, gdzie nie słychać donośnego brzęku oręża i mowy żydowskiej; biedne są te nasze panie, nawet świeżutkich kapelusików i świeżych jeszcze buziaków nie mają gdzie sprezentować.

SPRAWOZDANIE

Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego

z szóstego roku jego działania (1877/8)

złożone przez Dyrekcję na walnem zgromadzeniu dnia 30. listopada 1878.

Towarzystwo wydało w upłynionym roku szóstym na wsparcie uczącej się młodzieży większą sumę aniżeli w latach poprzednich, chociaż dochody jego w tymże roku były mniejsze. — Ten objaw jest podobno wynikiem ogólnych stosunków: ta sama przyczyna, skutkiem której mnoży się liczba proszących o zapomogę, oddziaływa z drugiej strony tak, że dochody Towarzystwa z wkładek rocznych nie zwiększają się w odpowiedniej mierze. Jeszcze też fundusze Towarzystwa nie wzrosły tak, aby Towarzystwo mogło skuteczniej starać się o naszą młodzież w zakładach naukowych, by z niej wychowywać dzielnych i licznych pracowników dla narodu, jak to jest zamiarem i pragnieniem Towarzystwa.

Nie możemy się jednak użalać na zobojętnienie dla Towarzystwa naszego; owszem pocieszać może oświadczana ciągle życzliwość Rodaków tak bliskich jak i dalekich dla celów dobroczynnych Towarzystwa. Oto w upłynionym roku przybyło Towarzystwu 9 *wieczystych* członków, którzy złożyli po 20 złr., jako wieczysty kapitał, zapewniający po 1 złr. na roczną wkładkę. Członkami tymi są: śp. *Jan Wieluch*, rolnik w Sibicy; p. *Paweł Paduch*, obywatel w Jabłonkowie; p. *Józef Szawelski*, lekarz w Rydzynie w W. Ks. Poznańskiem; dr. *Jan Pszczołka*, fizyk miejski w Bielsku; śp. *Jan Foltyn*, rolnik w Starem mieście przy Frysztacie; p. *Paweł Rymosz*, obywatel w Kozakowicach; p. *Józef Szyroki*, rolnik w Rychwałdzie; dr. *Mikołaj Kański*, adwokat w Krakowie; p. *Wincenty Kornecki*, właściciel drukarni w Krakowie. — Liczni zaś Członkowie złożyli hojniejsze datki, aniżeli obowiązkowa roczna wkładka (1 złr.) wynosi.

Dyrekcja wyraża także swoje uznanie Szanownym Delegatom, którzy jej wybieranie wkładek ułatwiali; a mianowicie szczególniejszą gorliwość tego roku udowodnili znowu: ks. *Dziekan Henryk*, wikary w Zebrzydowicach; p. *Halfar Karol*, nauczyciel w Szobiszowicach; ks. *Heczko Jerzy*, pastor w Ligotce; p. *Londzin Józef*, orga-

nista w Zabrzegu; ks. *Machaczek Walenty*, proboszcz w Rychwałdzie; p. *Paździora Józef*, rolnik w Górnej Suchej; ks. *Paździora Karol*, wikary w Skoczowie; ks. *Polednik Antoni*, proboszcz w Sedliszczu; ks. *Quitta Filip*, proboszcz w Dziećmorowicach; p. *Rużycki Ludwik*, aptekarz w Strumieniu; p. *Santarius Jan*, notarjusz w Boguminie, p. *Stanko Aleksander*, aptekarz w Bielsku; dr. *Limanowski Bolesław*, we Lwowie; dr. *Niementowski Przemysław*, profesor w Stanisławowie; p. *Trzaskowski Bronisław*, dyrektor gimnazjum w Tarnowie. Oprócz tego dyrekcja wdzięcznie wymienia nazwiska: p. *Karola Podlewskiego*, kasjera banku gal. w Krakowie i ks. *Wawrzyńca Ostrowskiego*, proboszcza w Brzeżanach.

Pomimo że wkładki roczne nie dość wcześnie wpływały, a zwłaszcza że Towarzystwo uczuło w tym roku zupełny brak t. zw. darów dobrowolnych, Dyrekcja znalazła się w możności, by przeznaczyć na zapomogi 475 złr. (o 20 złr. więcej aniżeli w roku poprzednim). Sumę tę rozdzielono między 21 uczniów, a mianowicie: a) 2 słuchaczy medycyny, jeden 80 złr., drugi 40 złr.; b) 2 słuchaczy filozofji, jeden 60 złr., drugi 50 złr.,; c) 2 teologów po 15 złr.,; d) 8 gimnazjalistów, między tymi jeden 15 złr., pięciu po 10 złr. w Cieszynie, i dwóch braci w Bielsku 25 złr.; e) 2 uczniów szkoły realnej, jeden 25 złr., drugi 15 złr.; f) 5 uczniów szkoły nauczycielskiej, między którymi 2 po 20 złr., a 3 po 15 złr.

Wsparcia te umożliwiła szlachetna ofiarność ziomków szląskich i dalszych spółrodaków, przez którą z rocznych wkładek wraz z odsetkami od już zebranych kapitałów miało Towarzystwo dochodu ogółem 888 złr. 79 ct. Wydatki administracyjne, jako to: za wydrukowanie ponowne statutów, sprawozdania rocznego, na korespondencję itp. wynoszą 104 złr. 21 ct. Potrąciwszy powyższe zapomogi i koszta administracyjne, pozostałość 309 złr. 58 ct. przybywa w tym roku do funduszów Towarzystwa.

Oszczędności z upłynionych sześciu lat wynoszą dotąd 3.800 złr. 91 ct. Mianowicie Dyrekcja zahypotekowała na domie Bazaru Cieszyńskiego 3000 złr., posiada 300 złr. w książeczkach udziałowych tegoż bazaru, 100 złr. w obligacji państwowej, 100 złr. w pożyczce osobistej, resztę w Towarzystwie zaliczkowem.

Co do ruchu Członków, przybyło w upłynionym roku 39 nowych. — Ubyło zaś 62, a mianowicie przez śmierć 6; wystąpiło 12 a wykreślono 44. Zmniejszyła się przeto liczba członków o 23 i wynosi obecnie 500.

Dla załatwienia czynności Towarzystwa odbyła Dyrekcja w tymże roku 9 posiedzeń swoich. Starając się usilnie o rozwój Towarzystwa, czyniła ona i w tym roku wszelkie zabiegi, dążące do wzrostu jego, które uprawniają do dobrej nadziei na przyszłość.

Towarzystwo ukończyło pierwsze sześciolecie. i z upływem tegoż ma być połowa Członków Dyrekcji odnowioną. Przed trzemy laty pierwsza połowa pierwotnej Dyrekcji poddała się wyborowi. Z kolei podlegają nowemu wyborowi następujący Członkowie Dyrekcji; dr. Fiszer, ks. Świeży, p. Glajcar, p. Kotula, p. Klebinder i ks. Moroń (w zastępstwie p. Brody wybrany). — Dyrekcja przedkłada więc wniosek nowego wyboru 6 Członków na następne sześciolecie. Oprócz tego jest wybór uzupełniający na następne trzechlecie, zamiast ks. Genserka przed trzema laty wybranego, który oznajmił swoje wystąpienie z Dyrekcji dla licznych zatrudnień swoich.

Drugi wniosek Dyrekcji ma na celu upewnienie bytu Towarzystwa, które zależy od tego, aby Towarzystwo miało fundusz nieruszalny. Wniosek ten jest nadto tylko zastosowaniem się do statutów Towarzystwa i opiewa:

„Walne zgromadzenie wyraża życzenie, ażeby Dyrekcja w celu spełnienia §. 8 ustaw przestrzegała: 1) ażeby kapitał ogólny już istniejący nie został naruszonym; 2) owszem ażeby do kapitału ogólnego procenta z niego coroczne i reszty kasowe dołączano, ażeby kapitał ten wzrósł najmniej do wysokości 10.000 złr."

Zakończamy to sprawozdanie z życzeniem, coraz pomyślniejszego rozwoju i wzrostu Towarzystwa naszego, użytecznego dla dobra kraju i narodu.

Obrót funduszów.

A. Przychód:

		zł.	ct.
1. Wkładki	a) wieczystych członków .	180	—
„	b) zwyczajnych . .	498	80
2. Dary dobrowolne		—	—
3. Procenta	a) od fundacyj wieczystych	63	80
„	b) od ogólnego kapitału .	146	19
	Suma	888	79

B. Rozchód:

1. Koszta administracyjne, mianowicie wydatki na druki, korespondencje, wynagrodzenie czytelni za używanie jej lokalu . . .	104	21
2. Zapomogi dla studentów . .	475	—
Suma	579	21

Porównanie dochodów z wydatkami:

Od sumy dochodów	888	79
potrąciwszy wydatki . .	579	21
pozostaje z szóstego r. na fundusz	309	58

Suma ta dzieli się w następujący sposób;

1. Na fundusz wieczysty z wkładek członków wieczystych, zapisanych 1877/8 przybywa . . .	180	—
2. na fundusz ogólny . . .	129	58
Suma	3800	91

Całkowity majątek towarzystwa z dniem 30 września 1878.

Pozostałość z końcem roku 1876/7 .	3491	33
„ z roku 1877/8 . . .	309	58
Suma	309	58

Majątek ten ulokowany jest, jak następuje:

Na domie bazaru cieszyńskiego zahypotekowane	3000	—
W obligacji państwowej . . .	100	—
W książeczkach udziałowych bazaru cieszyńskiego	300	—
W pożyczce osobistej . . .	100	
W Towarzystwie oszczędności i zaliczek	299	91
W gotówce kasowej	1	—
Suma	3800	91

Dyrekcja dołącza prośbę do Szanownych Członków, aby przyspieszyli wkładki swoje na rok bieżący a mianowicie uprasza upoważnionych do tego panów Delegatów, aby wybieraniem tychże wkładek oraz zjednywaniem nowych członków do wzrostu towarzystwa dopomagali. Przesyłki uprasza adresować do sekretrza Towarzystwa pana Pawła Stalmacha, redaktora „Gwiazdki Cieszyńskiej."

Dyrekcja.

We Lwowie wkładki przyjmuje i wpisy nowych członków Redakcja *Tygodnia polskiego*, dodając ze swej strony gorące słowo zachęty. Idzie tu bowiem o oświatę ludu i podanie braterskiej dłoni braci na Szląsku wystawionej na najsilniejsze parcie germanizmu. Każdy dar na ten cel stokrotne wyda owoce dla przyszłości naszej Ojczyzny.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Na ostatnim konkursie dramatycznym w Krakowie, pierwszą nagrodę w ilości 500 złr. otrzymała komedja p. Michała Bałuckiego, pt. *Krewniaki.*

*** *Śpiewnika polskiego* opuścił prasę zeszyt siódmy, zeszyty następne wyjdą również wkrótce z druku.

*** *Janko Cmentarnik*, jedna z najpiękniejszych gawęd Władysława Syrokomli opuści wkrótce prasę w nowem taniem wydaniu.

*** *Słomiany wdowiec.* Obrazki współczesne przez Autora „Kłopotów Starego Komendanta" drukowane uprzednio w „Wieku" wyszły w osobnem odbiciu książkowem.

*** Księgarnia Karola Wilda wydała *Przyczynek do Heraldyki polskiej w średnich wiekach* przez Kazimierza Stadnickiego.

*** *Listy do przyszłej narzeczonej* Juljana Mohorta wyszły w drugiem wydaniu nakładem F. H. Richtera.

*** Bibljoteki historycznej opuścił prasę zeszyt 156 zawierający *Dzieje polski* Ryszarda Reppla (zeszyt 8).

*** Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszły *Pamiętniki Michała Zaleskiego* Wojskiego (?) W. Ks. Lit., posła na sejm czteroletni.

*** Ogólne wydanie dzieł W. E. Gladstone'a ukaże się na widok publiczny u Sampsona, Low a Comp. w Londynie.

*** George Henry Lewes pozostawił w rękopiśmie tak znaczny zasób materjałów do dalszego ciągu dzieła swego „Problems of Life and Mind," iż z tego będą utworzone dwa tomy. Wydaniem zajmuje się George Eliot (wdowa po Lewes'ie).

*** Tow. Pomocy Naukowej dla młodzieży Prus zachodnich miało w dziesięcioleciu 95,098 m. dochodu, 82,995 m. rozchodu, dało wsparcie 69 akademikom, 15 technikom, 184 uczniom gimn. W r. z. liczyło członków 779.

*** W Poznaniu istnieje prywatny zakład ogrodniczy w Koźminie, w którym kurs rozpoczyna się 20. marca.

*** Tow. Historyczno-Literackie w Paryżu złożyło 820 fr. na pomnik Mickiewicza w Krakowie, chcąc poprzeć tę myśl.

*** Rocznik Towarzystwa Historycznego w Paryżu zawiera: „Ostatni pobyt w Grodnie Stanisława Augusta" z rękopisu Tyszkiewicza; życiorys gener. Kickiego i wspomnienie o Ludwiku Pacu; życiorys ks. Kajsiewicza, przez Bron. Zaleskiego; w tomie II: „Pamiętniki Michała Zaleskiego", posła na sejm czteroletni; nekrologja.

*** W Przeglądzie lwowskim Sewer drukuje powieść „Wielka księga".

*** *Doniosłość i potrzeba fabrykacji krochmalu z kartofli w gospodarstwie wiejskiem Kr. Pols.*, p. Kwiryna Sobieszczańskiego. (Warsz.)

*** *Praca dzieci i kobiet* w zakładach przemysłowych, p. A. Makowieckiego. (Warsz.)

*** *Wieczory czwartkowe*, p. M. J. Zalewska (nowe wydanie).

*** Ósma powieść historyczna J. I. Kraszewskiego, wyszła pt. „Stach z Konar", osnuta jest na tle dziejów Kaz. Sprawiedliwego. Wyszedł też ósmy tom dzieł jubileuszowych.

*** P. Edmund Jankowski, starszy ogrodnik w warszawskim ogrodzie pomologicznym, otrzymał pozwolenie wydawania czasopisma pt. „Ogrodnik Polski".

*** P. St. Kronenberg złożył 2,000 rs. celem podtrzymania Bibljoteki Nauk Prawnych.

*** Krąży pogłoska, iż p. Maurycy Wolff, księgarz w Petersburgu, miał otrzymać pozwolenie na wydawanie ilustracji w języku polskim.

*** Z powodu zarazy Warsz. Tow. Lekarskie wysadziło komitet sanitarny, który prowadzi swoje obrady w dalszym ciągu: sprawozdawca tego komitetu, Dr. Dobieszewski, przedstawił obszerny elaborat, który umieszczonym zostanie w czasopiśmie „Zdrowie".

*** Bibljoteka Warszawska w zeszycie za m. Kwiecień 1879 r. zawiera: I. Cnota i Występek. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. II. Pamiętniki kanclerza katedry Krakowskiej, przez Lucjana Siemieńskiego III. Syn Margrafa, tragedja z X. wieku, przez Bronisława Grabowskiego. IV. Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (1800—1830) przez K. Wł. Wojcickiego. V. Nirwana wobec Metafizyki przez Seweryna Smolikowskiego. VI. Kronika Poznańska. VII. Obrazy zamierzchłych dziejów przez Zygmunta Glogera. VIII. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego: a) Pisma Franciszka Wężyka, przez F. Jezierskiego; b) Roczniki Towarzystwa naukowego w Toruniu przez W.; c) Teatra w Polsce przez Estrejehera. IX. Wiadomości bieżące, literackie naukowe i społeczne. X. Nekrologja.

*** *Towarzysza pilnych dzieci*, wyszedł z druku Nr. 11 i zawiera: Święcone, wyjątek z poematu Władysława Syrokomli. Historja polska opowiedziana Jadwini przez jej mamę. Para starych trzewików, opowiadanie wyjęte z pamiętników o Cesarzowej Józefinie. Spowiedź wielkanocna w Rzymie z ryciną. Ciała zmarłych i groby w Egipcie. Kryś i Leoś. Zagadka.

Wiadomości przyrodnicze i podróże.

*** M. Arthington w Leeds ofiarował 2,000 funt. szterl. na uzbrojenie parostatku, pozeznaczonego na wyprawę dla bliższego zbadania rzeki Congo, oraz w celach misjonarskich, pod kierunkiem Wiel. J. G. Comber'a.

*** Z Neufchatelu donoszą o szczególnem zjawisku natury. W d. 10. lutego jezioro Neufchatelskie w południe przez dwie godziny znajdowało się w ruchu podobnym do przypływu i odpływu morza. Przystań pod Neufchatelem była w krótkich przestankach już to zupełnie opróżniona, już do połowy napełniona wodą. Wieczorem gwałtowna burza nawiedziła Neufchatel i Bern.

Sztuki piękne.

*** Wystawę obrazu „Bitwa pod Grunwaldem" w Warszawie zwiedziło 41,544 osób.

*** Sprawozdanie komitetu Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Warszawie, w pierwszej części obejmuje stan tegoż Stowarzyszenia, w drugiej rzecz o zasiłkach, stypendjach, oraz życiorysy Józefa Mianowskiego jako vice-prezesa, Piotra Le Bruna, Tg. Jasińskiego i Leona Straszyńskiego z 8 rycinami. Tow. liczy 2,118 członków, wartość jego zbiorów wynosi 9,892 rs., wydatki 15,646 rs., dochody 15,775. Kapitał lokowany 10,100 rs.

*** Warszawie ma przybyć nowy teatrzyk stały ale niemiecki.

*** Do Warszawy przybył 8-letni skrzypek p. Gregorowicz, z zamiarem wystąpień artystycznych.

*** W pracowni Henryka Siemiradzkiego wystawione były dwa obrazy tego artysty „Tanecznica starożytna" i „Ofiara starożytnych kochanków u stóp Erosa i Psychy".

*** Wystawę obrazu „Świeczniki Chrześcijaństwa" w Poznaniu zwiedziło 10,000 osób, a dochód 6,000 marek, z którego czysty zysk przeznaczył Siemieradzki na korzyść jednej z miejscowych instytucyj.

*** W wiedeńskiem Kunstvereine znajduje się obrazek Kozakiewicza „Nieudana ucieczka".

*** Na Wystawie Sztuk Pięknych w Krakowie przybyły: Br. Abramowicza „Zniweczony podstęp", Kazimierza Alhimowicza „Sieroty", Mireckiego „Portret kobiety", Świerzyńskiego „Imieniny ojca", Pociechy „Droga do wsi", (akwarella).

*** Pod przewodnictwem Wiktora Hugo utworzył się komitet dla wzniesienia pomnika Bérangerowi; podpisy na składkę rozpoczęły się w d. 1. marca r. b.

*** Na Krak. Wystawę przybyły Gersona Kopernik" i Sommera „Wodospad" i „Zachód słońca".

*** P. Józef Zieliński w szkole architektonicznej w Paryżu, otrzymał po ukończeniu tejże złoty medal.

*** Zebranie ogólne Krak. Towarzystwa Muzycznego zajęło trzy posiedzenia, a członkowie się dowiedzieli, że sprawa objęcia funduszów po byłej bursie i szkole muzycznej w Krakowie postąpiła na drodze urzędowej i że szkoła przy subwencji rządowej rozwinąć Tow. zamierza. Odbyło się 5 wieczorów muzykalnych, przychód wynosił 7,511 złr., rozchód 7,146 złr., a członków 394.

*** Panu Zygmuntowi Kątskiemu z Warszawy oddano naukę gry na basetli w szkole Muzycznej Krakowskiej.

W teatrze Krakowskim grano Juliusza Vergna „Dwaj Frontignacy".

*** Na wystawę Tow. Szt. Pięk. w Krakowie przybyły: Benedyktowicza „Zagroda wiejska", Krajewskiego „Portret mężczyzny", Mayburgera „Na pastwisku".

*** Na wystawę Tow. Zach. Szt. Pięk. przybyły: Alchimowicza „Turczynka" i „W wiejskim ogródku", Horowitza „Portret autora", Maleckiego „W marszu", Ryszkiewicza „Po wojnie", Świeszewskiego „Pejzaż", Ostrowskiego popiersia Kronenberga, Mogilnickiego i Potockiego.

*** Na scenie warszawskiej wystawioną będzie tragedja Heissego „Sabinki", w przekładzie K. Kaszewskiego.

*** Budżet teatrów warszawskich na rok 1879 wyznaczony jest: dochodów stałych 385,015 rs., czasowych 5,000 rs., wydatków 381,981 rs., czasowych 5,184 rs.

*** Na ogólnem zebraniu Tow. Muzycznego Warsz. wniosek komitetu o zmianę dotychczasowej opłaty rocznej na rs. 10, a wpisowego na rs. 5, został aprobowany; podniesiono też ceny biletów na koncerta dla obcych do rs. 1, dla rodzin członków do 50 kop.

*** P. Puchniewski, dyrektor trupy w Kaliszu, przedstawi obraz ludowy „Noc Święto-jańska", napisany przez ślusarza Staszczyka.

*** P. Jan Kleczyński wystąpił w Warszawie z szeregiem prelekcyj o pojęciu i wykonywaniu utworów Szopena. Koncert Szopenowski odbył się 25. marca.

Stowarzyszenia.

*** (Sprawozdanie ze stanu i czynności Towarzystwa naukowego akademików Polaków w Berlinie w semestrze zimowym 1878-9). Towarzystwo naukowe akademików Polaków w Berlinie liczyło w ostatniem półroczu 72 członków czynnych i 9 honorowych. Stosownie do wydziałów uczęszczało: a) do uniwersytetu: na prawo 10, na medycynę 9, na filologję 6, na filozofję 3, (razem 28); b) do akademji budowniczej: na inżynierję 7, na architekturę 8, na obydwa wydziały złączone wedle starego systemu 8, (razem 23); c) do akademji przemysłowej: na mechanikę 3, na chemję 2; d) do akademji górniczej 4; e) do akademii weterynaryjnej 6; f) do akademii sztuk pięknych 2; g) do instytutu agronomicznego 4. Towarzystwo odbyło w ciągu półrocza 16 posiedzeń, z których 13 było zwyczajnych, 2 nadzwyczajne i 1 walne. Na 10 posiedzeniach zwyczajnych czytali członkowie następujące rozprawy: 1. p. Konitz Józefat: „O stosunku sztuk pięknych do nauk przyrodniczych." 2. p. Kozłowski Ludomir: „O wystawie paryzkiej." 3. Mańkowski Bolesław: O psychicznych zboczenniach fantazji: „Marzycielstwo, idealizm i fantastyzm." (Na dwóch zebraniach). 4. p. Krasnowolski Antoni: „O miłości jako przedmiocie poezji polskiej w historycznym rozwoju." (Na dwóch zebraniach). 5. p. Łączkowski Ludwik: „Kilka słów o Kociewiu. Próba opisu tej ziemi pod względem geograficznym, historycznym i etnograficznym." (Na dwóch zebraniach). 6. p. Potworowski Jerzy: „O wulkanach." 7. p. Dziegiecki Kazimierz: „O utworach geologicznych natury węglowej".

Dnia 2. lutego obchodziło Towarzystwo 40-letnią rocznicę swojego istnienia, a 10-tetnią zatwierdzenia statutów przez senat uniwersytecki. W uroczystości, która się odbyła w Café Zennig pod Lipami, wzięli udział prócz delegacji związków polskich w Berlinie, posłowie Koła polskiego. oraz reprezentacje kółek akademickich w Gryji i Wrocławiu.

Księgi kasowe wykazały z końcem półrocza następujące pozycje: Dochód wraz z remanentem wynosił 583,50 marek, rozchód wynosił 413,50 marek. Pozostało na następne półrocze 169,80 marek. Bibljoteka Towarzystwa zawiera 1872 dzieł w 2855 tomach. W ostatniem półroczu przybyło dzieł 44. Czytelnia otrzymuje pism 12.

Wiadomości ekonomiczne i gospodarskie.

*** Towarz. Krak. Tatrzańskie wyjednało od kolei Węgiersko-Galicyjskiej znaczne ułatwienia dla turystów zwiedzających Tatry.

*** W Galicji w r. z. było 440 stacji telegraficznych.

*** Dotąd zebrane fundusze na pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie wynoszą: 2,659 złr.

*** W Krakowie istnieje Komitet Opieki Szpitalnej dla dzieci i liczy 97 członków, 9,581 złr. funduszu zakładowego, dochodu 23.309 złr., rozchodu 12,321 złr. leczono 619 dzieci w ciągu roku.

*** Zawiązała się w Krakowie spółka akcyjna do poszukiwania ropy naftowej w Lubuszy.

*** Odbyło się walne posiedzenie Tow. Pom. Naukowej imienia Marcinkowskiego w Poznaniu, z którego się przekonywamy, iż dyrekcja ogólna miała dochodu w papierach 6,675 mar., w gotówce 42,411 m., wydatku 41,775 m., pozostało więc remanentu w papierach 123,460, gotówką 14,849 marek. Utrzymywano stypendjatów w końcu roku 102.

*** Krakowskie Tow. Ochrony Zwierząt liczy 160 członków, zniżyło składkę z 1 złr. 20 c. na 60 dla nauczycieli ludowych.

*** Sprawozdanie Oddziału Przytułków w Warszawie na 1878 r. opiewa, iż znalazło tam pomieszczenie 798 osób, których koszt utrzymania wynosił 2,195 rs., majątek instytucji wynosi 8.388 rs.

*** Według sprawozdania p. Rossmana, szkody zrządzone powodzią z nizinie Moczydłowskiej, wymagałyby 10,000 rs. wsparcia

*** Stowarzyszenie Pomocy zamieszkałych w Warszawie szwajcarów ma majątku 1,810 rs., dochodu 738 rs, rozchodu 574 rs.; Stowarzyszenie zamierza nająć lokal, gdzieby wraz z rodzinami mogło się zgromadzać w celu rozrywki.

*** Otwarto piętnastą z rzędu czytelnię przy Ochronie V, na ul. Mokotowskiej, w Warszawie.

*** Czytelnia w Mławie p. Prusaka, zwiniętą została, lecz znalazła nowonabywcę, który handel księgarski rozwinąć zamierza.

*** W Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej założoną została wielka farbiarnia.

*** Pokłady węgla kamiennego odkryto w Ożarówce, w pow. Będzińskim.

*** Płockie Tow. Spożywcze „Zgoda" zamknęło rok zeszły z 254 rs. deficytu.

*** W warszawskiej czytelni studenckiej akademickiej liczba zażądań dzieł doszła do 8,017 w roku zeszłym.

*** W Kaliskiem z rozporządzenia gubernatora, mają być utworzone komitety sanitarne po wszystkich miastach.

*** W Łodzi, w fabryce Cheitlera, pękł cylinder machiny, tak że 45,000 wrzecion musiało na kilka miesięcy stanąć; robotnicy zostali pomieszczeni w innych oddziałach zakładu.

*** W Odessie na szkółkę katolicką pan Marażli, Grek i głowa miasta, ofiarował 100 rs.

*** Część miasta Mohylowa Naddniestrzańskiego, zbudowana nad rzeką Bubrowenką, uległa zburzeniu skutkiem podmycia wzgórza.

*** W Osieku, w pow. Płońskim, gub. Płockiej, odkryto obszerne pokłady torfu.

*** Akcyjna przędzalnia bawełny w Zawierciu będzie rozprzestrzenioną.

*** Spółka warszawskich krawców otrzymała pozwolenie od władzy na swą organizację.

*** Zawiązuje się w Dynaburgu Tow. Wzajemnego Kredytu.

*** W Lublinie z przedstawienia i odczytu publicznego zebrano 400 rs., celem założenia kasy wsparcia dla niezamożnych studentów Gimnazjum Lubelskiego.

*** Redakcja Izraelity zbiera fundusze na pomnik dla Daniela Neufelda, pierwszego redaktora Jutrzenki, pisma polskiego dla żydów.

*** W Warszawie r. b. zamierzają budować 200 domów, na co zamówiono 180 miljonów sztuk cegieł po 16 do 18 rs. 50 kop. za tysiąc.

*** Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Warszawie dało za rok zeszły 8% dywidendy.

*** Komitet Giełdowy Warsz. czynnie się zajmuje zaprowadzeniem giełdy produktowej.

*** Jeden z największych zakładów garbarskich w Warszawie ma przejść na własność Towarzystwa Akcyjnego.

*** W Warszawie założoną została fabryka mielonego gipsu.

*** W Warszawie jedna z fabryk nożowniczych zaprowadza u siebie motor wiedeńskiego fabrykanta Höha, o powietrzu ogrzanem.

*** W Zawierciu spaliła się niedawno tam założona fabryka tektury smołowej.

*** Między Warszawą i Sandomierzem ma być urządzoną komunikacja statkiem osobno zbudowanym, biorącym tylko 18 cali zagłębienia, nazwanym „Zefir".

*** Rada paryzka przyjęła dar wdowy po Rosinim w sumie 2,395,000 fr., za którą w Passy będzie ufundowany dom dla zubożałych starców muzyków Włochów i Francuzów.

*** We Lwowie zawiązało się stowarzyszenie nauczycieli i nauczycielek szkół elementarnych dla wzajemnej pomocy i liczy 52 uczestników z 485 złr. majątku.

*** Fundusz stowarzyszenia młodzieży handlowej we Lwowie wynosi 15,162 złr., dochód 2,491, rozchód 2,303, członków 152 i 50 wspierających.

*** Stowarzyszenie głuchoniemych „Nadzieja" we Lwowie, otrzymało pozwolenie zbierania składek w całym kraju.

*** Galicyjskie Towarzystwo oficjalistów prywatnych liczy 1,774 członków z 4,608 udziałami, czyli wkładką 18,432 złr., co wykazuje wzrastające zaufanie, gdyż udział w 1873 r. na jednego członka wypadał $1^{87}/_{100}$, a obecnie $2^{62}/_{100}$; Tow. wspiera 162 osób stałą pensją.

*** Stowarzyszenie polskie w Wiedniu „Ognisko" miało funduszu żelaznego 752 złr., pożyczkowego 704, obrotowego 935, pozostałości 1,513, wieczorów odbyło siedm i jeden Mickiewicza, członków 146.

*** Na odbytem ogólnem zebraniu członków Tow. Gospodarczego Poznańskiego zawiadomiono, iż szkoła Żabikowska do dalszego czasu musi być zamkniętą, jej zbiory zostawiono w Żabikowie, następnie zdano sprawę z rozwoju kółek rolniczych; gdy rząd wystaw gospodarczych na większą skalę zabronił, urządzano je w małych rozmiarach jak w Krotoszynie i Królikowie, tudzież próby machin; skonstatowano powody złego stanu rolnictwa.

Szkoły.

* Na uniwersytecie lwowskim znajdowało się w półroczu zimowem b. r. 1038 słuchaczów, mianowicie: teologów 270, prawników 627, na wydziale filozoficznym 140 — z tych było w obowiązku wojskowym 208. Stypendja pobierają na wydziale prawniczym w kwocie 7.563 złr., na wydziale filozoficznym 1.265 złr. i 20 dukatów. Polaków było w powyższej liczbie 649, Rusinów 359.

Nekrologja.

† Dnia 27 lutego r. b. w Warszawie umarł *Józef Wojciechowski*, znany w piśmiennictwie pod pseudonimem *Józefa z Mazowsza*, urodzony w Warszawie 1840 r. Ogłosił drukiem *Judyta*, poemat biblijny 1863 r. *Kobiety i mężczyźni* powieść w r. 1871. *Gero Margraf* dramat z czasów pogańskich słowiańszczyzny w r. 1873. Ostatnią jego pracą poetyczną jest przekład *Królowej Marji* Tennyson'a. Był stałym współpracownikiem Tygodnika illustrowanego.

NA PRZEWOZIE.

NOWELLA.

Klara do Henryka

Kerentrech 1. maja 185...

„Twój list, Henryku, wzruszył mnie głęboko; pomimo to jednak, nie mogę ci inaczej odpowiedzieć jak poprzednio. Wierzę ci, że mnie kochasz, i nie waham się wyznać otwarcie, że i ja ciebie kocham. Ale obowiązek stawiam wyżej po nad miłość, i nigdy, Henryku, nigdy nie zostanę twoją żoną, jeśli używać będziesz innych środków w celu przebłagania twej matki oprócz prośby pełnej należnego szacunku.

„Nigdy nie wejdę przemocą w grono rodzinne; nie chcę aby ktokolwiek miał możność i prawo traktowania mnie jak obcą.

„Słowa powyższe wydadzą ci się zimnemi, zbyt nawet zimnemi, ale rozważ tylko, drogi mój Henryku, że troska o wspólne nasze szczęście, innaczej mówić mi nie ozwala!

„Dla ciebie samego, nie chcę dopuścić, abyś później, skoro bez żadnej wstecznej myśli, poświeciałbym ci moje życie. mógł najstraszniejszą boleść mi wyrządzić, podejrzewając bezinteresowność mojego postępowania.

„A potem, przyznaj sam, Henryku, nie byłożby to smutnem, okropnie smutnem, połączyć losy swe na całe życie, bez błogosławieństwa rodzicielskiego?

„Henryku! bądź roztropnym i mężnym. Roztropnym, nie drażniąc gwałtownie wyobrażeń twojej matki. Ona przecież twego szczęścia pragnie. Proś ją, aby wyrzekła się swych zamiarów; o tak! proś ją, błagaj! ale nie groź jej, jak to już tylekroć razy uczyniłeś, że postąpisz wbrew jej woli. Do czegoś podobnego ja nigdy ręki nie przyłożę.

„Bądź mężnym i nie mów mi już, że w samobójstwie szukać będziesz ulgi na twoją boleść. Myśl taka niegodną jest ciebie, a cenię cię zbyt wysoko, abym mogła pozwolić iżbyś miał upaść tak nisko.....

„Henryku mój! ufajmy, że i dla nas lepsze dni nadejdą. Ale czy połączymy się, czy przeznaczenie rozdzieli nas na zawsze, wierzaj, iż miłość moja dla ciebie nigdy nie wygaśnie.

Klara.

„Ciotka moja przesyła ci ukłony. Pielęgnuje ona starannie twoje kwiaty i ptaki, a ja jej chętnie w tem dopomagam."

K.

* * *

Henryk do Klary.

Vannes 6. maja.

„Jakżeż możesz, najdroższa, pisać do mnie w ten sposób! Ah! widzę teraz, że nigdy kochać mnie tyle nie będziesz, ile ja cię kocham, i że łudzę się tylko zwodniczą chimerą, usiłując miłością mą zwalczyć twoją dumę.

„Klaro! bóstwo ty moje! okaż większą troskliwość o moje szczęście, nie usuwając go przez zbyteczne skrupuły w dal niedoścignioną.

„Na chwilę cofnij się w przeszłość pamięcią.

„Czyś zapomniała ową chwilę, w której po raz pierwszy, słaby, niedołężny i schorowany, sprowadzony zostałem przez moją matkę do Kerentrech?

— Czuwaj nad moim synem, kochana pani Reine, mówiła ona cała spłakana do twojej ciotki. Widzisz pani, jaki on delikatny, a on jeden już tylko pozostał mi na świecie! Tylko przekonanie, że powierzam go opiece jakby drugiej matki, dodaje mi siły do rozstania się z nim na czas nieco dłuższy.

„Ciotka twoja uspokajała i zapewniała matkę moją jak mogła najlepiej, ale ja zalewałem się łzami na myśl, że mam pozostać w domu, w którym nie znałem nikogo.

„Nagle ty, Klaro, ukazałaś się we drzwiach sali.... łzy przestały mi płynąć i.... i pobiegłem ku tobie:

— Ah! jaka ona ładna!.. zawołałem. Już tu chętnie zostanę; wcale nie będę płakać!

„Miałem wówczas lat dziesięć, ty, Klaro, miałaś cztery dopiero, a sama wiesz najlepiej, czy uczucie wzbudzone przy pierwszem spojrzeniu, osłabło kiedykolwiek? Nie byłżem zawsze dla ciebie najczulszym z braci, aż do chwili, w której poznałem iż gorące to przywiązanie w miłość się zamieniło?

„Przypomnij sobie trzy wypadki z wspólnego naszego życia.

„Pierwszy z nich miał miejsce w pół roku po mojej instalacji u was. Bawiliśmy się oboje na łące, gdy niespodzianie jeden z pasących się w pobliżu koni, uniósł się i biegł wprost na nas.

„Stanąłem przed tobą, mając za całą obronę gałązkę leszczyny, jeszcze liśćmi pokrytą, i ja — taki nieśmiały, taki bojaźliwy — odważyłem się stawić opór szalonemu zwierzęciu. Czy to że szał jego przeminął już, czy też rzeczywiście drobna ta zapora zmieniła go, koń cofnął się i przebiegł mimo, a ty byłaś ocaloną. Porwałem cię w ramiona i z tryumfem odniosłem do ciotki.

„W trzy lata później, wzmocniłem się już o tyle, że zdrowie moje nie wzbudzało żadnej obawy. Matka przyjechała po mnie, ale ja żadną miarą nie chciałem się oddalić.

— Miałbym opuścić moją ukochaną Klarcię! zawołałem — nie, to niepodobna! Nie zdołałbym żyć bez niej!

Matka moja uważała to jako kaprys dziecięcy i aby mnie pocieszyć, przyrzekła mi, że co rocznie przyjeżdżać będę na wakacje do Kerentrech.

„Przed odjazdem, chciałem ci trwałą pozostawić pamiątkę. Ukłułem się w rękę i krwią własną wypisałem na karteczce te słowa:

„Klaro, Kocham cię z całego serca! Pamiętaj o mnie, nieszczęśliwym, zmuszonym żyć z dala od ciebie!"

„Pomimo młodego wieku swego, z całą powagą przyjęłaś tę pamiątkę, a zapewnienie, że o mnie nie zapomnisz, ułagodziło nieco moją boleść wskutek rozłąki.

„A kiedy, w dziesięć lat później, po wielokrotnych odwiedzinach w Kerentrech, powiedziałem ci pewnego wieczoru, że prócz ciebie, żadna inna kobieta nie zostanie mą żoną, oparłaś głowę na mem ramieniu, a głosem twym, tak słodkim, gdy zechcesz, szepnęłaś mi czule:

— Oh, Henryku! jakże szczęśliwą jestem!

„Czyliż zapomniałaś to wszystko, o Klaro? i miałażbyś odtrącić mnie za to żem przechował wiernie mą miłość!

„To prawda, że matka moja nie chce zezwolić na nasz związek. Przez sprzedaż znacznego przedsiębiorstwa handlowego, założonego przez śp. mojego ojca, zapewniła sobie wygodne i niezależne stanowisko. Zaślepionej w jedynym synu, zdaje się jej, że dwa tysiące franków renty jakie otrzymać masz po najdłuższem, daj Boże! życiu twojej ciotki, nie mogą iść w porównanie z pół miljonowym majątkiem, jaki mi ma wręczyć w dniu mojego ślubu.

„Ale, Klaro, matka ubóstwia mnie, i nie wątpię, że zdołam przełamać jej upór. I cóż byś w tem złego widziała, gdybym nawet wbrew jej woli postąpił, skoro zostawszy jej córką, czułością swą i przywiązaniem, zatarłabyś wspomnienie chwilowej, wyrządzonej jej przez nas przykrości.

„Jeżeli zaś stanowczo nie zechcesz zgodzić się na użycie tego środka, przysięgam ci, że zagrożę matce, iż na nią spadnie odpowiedzialność za przedwczesną śmierć moją.

„Wiesz, jak kocha ona mnie bez granic; musi w końcu zgodzić się na zapewnienie mi szczęścia.

„Gdyby zaś miała być również nielitościwą, jak ty, Klaro, zimną się okazujesz, w takim razie! bądź przekonaną, że nie cofnę się przed spełnieniem mej groźby, gdy, bez ciebie życie dla mnie jest niemożliwem.

„Pomyśl, najdroższa! jak kocha cię twój.

Henryk.

* * *

Klara do Henryka.

Kerentrech 15. maja.

„Nie będę powtarzać tego, co pisałam ci, mój Henryku, przed dwoma tygodniami. Pragnę tylko nakłonić cię do względniejszego postępowania z twą matką.

„Jesteś jedynem jej dzieckiem, stanowisz dla niej całą rodzinę. Ona marzyła dla ciebie o najświetniejszej przyszłości, a ja miałażbym dopomagać do zniszczenia projektów wykołysanych i wypieszczonych w macierzyńskiem sercu. Nie, nigdy!

„Wyrzucasz mi moją obojętność! Czyliż ci nie powiedziałam jak mocno cię kocham! czyliż tak mało znasz mnie, iż mógłbyś nie wierzyć mojemu słowu?

„Henryku! nie ja to pierwsza zapomnę. Nie zżymaj się, mój drogi. Jesteś dobry, poczciwy. Kochasz mnie, wiem o tem; ale wiem również, że miłość twoja podtrzymują jedynie napotykane przeszkody.

„Charakter twój jest mięszaniną uporu i słabości. Ubiegasz się za tem, czego ci odmawiają — dość jednak zostawić ci wolność działania abyś stracił chęć posiadania tego, czego przed chwilą tak gorąco pragnąłeś.

„Co do mnie, Henryku, jestem zupełnie innego usposobienia. Nie tracę słów na bezużyteczne wynurzenia, nie zalewam się łzami, nie wyrzekam na losy przeciwne, ale co przyrzekłam, dotrzymam z pewnością.

„Pokochałam cię, zanim się dowiedziałam, że ubóstwo moje będzie zawadą w spełnieniu pragnień serca. Ale nie mogłam już stłumić uczucia, i wiem, że kochać cię zawsze będę.

„Choćby jednak miłość ta do grobu wpędzić mnie miała, nawet cień podejrzenia nie skazi jej czystości. Nazwiesz to dumą może, ale duma ta stanowi jedyny mój posag, a z podniesionem czołem chcę wejść do domu mojego męża.

„Żegnam cię, Henryku, nie pisuj już do mnie. Jestem mężna, ale zaledwie starczy mi sił na zniesienie własnej boleści. Nie przyjeżdżaj również do Kerentrech. Wiem, że wycieczki te drażnią twoją matkę, ani ciotka ani ja nie życzymy sobie abyś sprawiał jej przykrość"....

W tem miejscu Klara przerwała pisanie i nie mogła zdecydować się na dokończenie listu. Pochyliła głowę, a łzy gorące twarz jej zalały. Nagle zadrżała usłyszawszy tuż po nad sobą życzliwe słowa:

— Czego płaczesz, Klaro?

— Ty tutaj, Henryku! — krzyknęła uśmiechając się przez łzy.

— Jadąc w ważnym interesie do Lorient, nie mogłem przenieść na sobie, żeby tu nie wstąpić. Czy gniewasz się o to, Klaro?

— Powinnabym, ale nie mam odwagi — odpowiedziała wyciągając ręce do młodego człowieka.

Henryk pochwycił je i okrył pocałunkami.

— Do mnie pisałaś, wszak prawda? — zapytał. — Pozwól mi przeczytać ten list.

I zanim Klara zdążyła mu przeszkodzić, porwał papier i przebiegł go oczyma.

— W taki to sposób obchodzisz się ze mną — rzekł z goryczą; tak mi się odpłacasz za moją miłość!..

Wszyscy zakochani jednakowym przemawiają językiem. I Henryk zaczął od gwałtownych wyrzutów, ale uspokoił się wkrótce pod wpływem łagodnych słów dziewczęcia; nie mniej przeto widocznem było, iż przejmował go jakiś gorączkowy niepokój.

Tymczasem nadeszła i pani Reine, zawiadomiona o przyjeździe gościa.

— Cioteczko — rzekł Henryk, z dziecinnych lat zachował zwyczaj przemawiania do niej w ten sposób — przybywam tu z wielkimi projektami. Wiadomo cioci, że matka moja pokłada ślepe zaufanie w swoim cioteczným bracie Edmundzie, mieszkającym w Lorient. Otóż, jedźmy razem do niego; we troje łatwiej nam będzie poprzeć naszą sprawę.

Klara opierała się z początku, ale pani Reine pochwaliła zamiar Henryka i uradzono, że wyjadą zaraz po śniadaniu.

* * *

Chcąc z Kerentrech dostać się do Lorient, trzeba przebywać rzekę Scorff. W owym czasie dzisiejszy piękny most wiszący nie był jeszcze zbudowany. Przeprawiano się przez rzekę za pomocą czółna, i stosownie do przypływu lub odpływu morza, przeprawa bywała bardzo łatwą albo też niebezpieczną.

Henryk, Klara i pani Reine przybyli do przewozu około godziny drugiej popołudniu.

Słońce przyświecało w całym blasku. Lorient zdawał się zanurzać w różowem świetle, na tle którego piętrzyły się ku niebu maszty stojących w porcie okrętów. Na uspokojonem morzu, gdzieniegdzie tylko lekka ukazywała się piana, a rzeka Scorff płynęła cichutko, najmniejszego prawie szmeru nie wydając.

Podróżni nasi wstąpili do czółna.

Henryk usiadł przy samej krawędzi, Klarę zaś umieścił obok siebie.

— Klaro — szeptał jej do ucha, silnie dłoń jej ściskając — wysłuchaj mnie cierpliwie, nie rób żadnych zarzutów, gdyż tu idzie o życie. Ja cię zwiodłem, Klaro! Wuj mój, do którego miałem was zaprowadzić, umarł przed tygodniem, zostawiwszy mi ogromny majątek, co jeszcze bardziej wpłynęło na opór matki przeciw naszemu małżeństwu....

— W takim razie — przerwała Klara — obowiązkiem jest moim....

— Posłuchaj — nie dał jej dokończyć Henryk — chwile są policzone. Po przybyciu do Lorient, zeznam przed sądem akt usamowolnienia, nazywany w kodeksie zapewne przez szyderstwo „aktem uszanowania". Spodziewam się że mnie poprzesz?

— Nie — odpowiedziała Klara stanowczo.

— Chcesz więc śmierci mojej?

— Oh! nie mów tego, Henryku! Gdybyż to tylko umrzeć było potrzeba, aby ci dowieść jak mocno cię kocham!

— Umrzyjmy więc razem — szepnął Henryk i obejmując wpół Klarę, rzucił się z nią razem do wody.

Stało się to tak nagle, że ani przewoźnik ani pani Reine, ani też inni podróżni nie zdołali przeszkodzić. Osłupienie ogólne było tak wielkie, że wtecz as dopiero zrozumiano straszną rzeczywistość, gdy ciała dwojga kochanków wypłynęły na powierzchnię i skryły się napowrót w głębi rzeki.

Krótko jednak trwała chwila przerażenia; rzucono się na pomoc

. . . .

W pół roku później Henryk zaślubił kuzynkę swoją, Cecylję.

* * *

Dwa lata upłynęły. Klara, bardzo zmieniona, wybladła, szła do Lorient, gdzie wzywały ją ważne interesa.

Przechodziła właśnie koło kuźni znajdującej się w pobliżu przewozu, kiedy uwagę jej zwrócił nagle dźwięk głosu, który nagle drżeniem odbił się w jej sercu. Biedna dziewczyna zbladła bardziej jeszcze i była tak wzruszoną, iż musiała się zatrzymać.

W tejże chwili wychodził z kuźni młody mężczyzna eleganckiej powierzchowności, dosadnie objawiając swe zniecierpliwienie. Klara ujrzawszy go, zachwiała się. I on ją spostrzegł i pobiegł śpiesznie:

— Klara! moja droga Klara! — zawołał wyciągając ku niej ręce.

Lecz Klara cofnęła się o parę kroków.

— Jakto! — mówił z żywością — odmawiasz mi jednego uścisnienia ręki! Ah! zawsze jesteś ta sama!

Dziewczę gorzko się uśmiechnęło.

— Tak, Henryku, zawsze ta sama! Ja się nie odmieniam; dawno ci to już powiedziałam.

— Czy mam to za wyrzut uważać?

— Broń Boże!

— Czy też ty sama nie doprowadziłaś mnie do rozpaczy? czyś nie ty poradziła mi abym wypełnił wolę matki?

— Tak jest, w istocie; nie masz sobie nic do wyrzucenia. Ja tu tylko zawiniłam.

— Mówisz to takim tonem szyderczym! Przypomnij sobie tylko...

— Ja wszystko pamiętam, Henryku. Wszystko! nawet silne wrażenie, jakie wywarła na ciebie piękność kuzynki Cecylji! wrażenie które uczyniło ci mniej przykrem zastosowanie się do rozkazów matki. Ale przestańmy już mówić o tem. Postąpiłeś jak przystało na dobrego syna, a ja pochwaliłam twój postępek. Spodziewam się, żeś szczęśliwy?

Twarz Henryka rozpromieniała.

— Oh! i jak szczęśliwy! — rzekł z uniesieniem — Cecylja jest tak łagodna, tak żywa, tak wesoła; nie posiada ona może wszystkich twoich zalet; ale kto wie, czy nie lepiej że się tak stało: tyś taka dumna, a ja znów gwałtownego usposobienia...

— Masz słuszność.

— A ty, Klaro, jesteś szczęśliwą! Mąż twój...

— Ja nie mam męża.

— Jakto! dotąd jeszcze nie wyszłaś za mąż?

— I wcale wyjść nie myślę. Podobnież jak ty, nabrałam przekonania, że charakter mój mógłby się nie zgadzać z wymaganiami męża. Zresztą, musiałam pielęgnować ciotkę. Umarła już, niestety!

— Umarła! biedna ciotka!

— Słusznie nazwałeś ją „biedną", bo też wiele wycierpiała!

— Henryku! Henryku! gdzie jesteś! — dał się słyszeć wesoły głosik.

— To moja żona — rzekł Henryk — zbierała kwiatki, czekając aż nam konia podkują. Dokąd idziesz Klaro, zapewne do Lorient? Przeprawimy się razem przez rzekę.

Zanim Klara zdążyła odpowiedzieć, zbliżyła się do nich młodziutka, prześliczna kobieta. Biedne dziewczę jakby przez sen tylko słyszało że Henryk przedstawił jej swą żonę, a następnie ją samą zarekomendował Cecylji, że wyszeptała kilka słów niezrozumiałych i że kilkanaście kroków szli razem. Na przewozie dopiero, wskutek kołysania się fali, odzyskała przytomność. Podniosła oczy i ujrzała Henryka zajętego wyłącznie żoną.

— Bądź szczęśliwy! — westchnęła — ja sama tylko niech cierpię.

Po chwili młodzieniec podszedł ku niej, a Klara bezwiednie zupełnie, jakby nie mogąc oprzeć się gwałtownemu porywowi serca, ujęła rękę Henryka, i wskazując mu miejsce, gdzie przed dwoma laty rzucił się wraz z nią do wody.

— Umrzyjmy razem! — rzekła wybuchając dziwnie przejmującym śmiechem.

Henryk zadrżał.

— Oh, Klaro! — mówił — pamiętasz więc jeszcze naszą miłość dziecinną?

— Nie! ja o wszystkiem zapomniałam. Trzeba mi było znaleźć się wraz z tobą w tem samem miejscu, gdzieś sądził mieć prawo rozrządzania mem życiem, abym przypomniała sobie twe szaleństwo. Jedno tylko jeszcze pamiętam: to, że dobrze niegdyś przeczułam, iż tobie nie trudno będzie zapomnieć.

— Klaro, ty cierpisz! Głos twój taki zmieniony!

— Mylisz się; jestem szczęśliwa, widząc ciebie szczęśliwym!

Wielka wrzawa i krzyki przerażenia na przewozie, przerwały tę rozmowę. Powodem ich był koń Henryka; przestraszony bowiem łoskotem fali i gwałtownem kołysaniem się statku, zaczął rzucać się i stawać na tylnych nogach.

Henryk chciał go uspokoić, ale naprózno; łagodne słowa nie wywierały żadnego wpływu na rozjuszone zwierzę; chwycił więc silnie za mundsztuk, koń szarpał się tem gwałtownej a łódź przechyliła się straszliwie. Wszyscy podróżni rzucili się w przerażeniu na drugą stronę promu. Po chwili zdołano konia ułagodzić, niebezpieczeństwo minęło; podróżni liczyli się wzrokiem...

Jednej osoby brakowało.

— Klaro! — zawołał Henryk — co się stało z Klarą?

— Niestety! — odrzekł jeden z podróżnych — niema jej: musiała wpaść w wodę, gdy się prom przechylił.

Jeszcze mówiący nie dokończył tych słów, kiedy Henryk, pomimo błagań swej żony, zanurzał się w głębiach rzeki. Za jego przykładem poszli i inni, usiłowania ich pozostały bez skutku.

Klary nie odnaleziono.

Zrozpaczony Henryk poprzysiągł, że nie opuści brzegów rzeki, ponowiwszy poszukiwań. Dopiero jednak z odpływem wód morskich znaleziono martwe zwłoki młodej dziewczyny w nadbrzeżnem zagłębieniu. Zaciśnięte jej dłonie uczepiły się porostów rzecznych. Na widok trupa, strumień łez popłynął z oczu Henryka: pochylił głowę i szepnął z westchnieniem:

— Opuszczona przezemnie, w objęciach śmierci szukała pociechy. Jam ją zabił.... Ona zapomnieć nie umiała!

V. Vattier.

Treść Nr. 12.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.